MYŚLIWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA
(Sp. z ogr. odp.).

Każde Towarzystwo i Kółko myśliwskie powinno wziąć choć jeden udział Myśliwskiej Spółki Wydawniczej ze względu na jej kulturalne cele.

Na apel nasz do Czytelników, wzywający do deklarowania udziałów Myśl. Sp. Wydawniczej oraz na apel w tej sprawie Polskiego Związku Myśliwych do Towarzystw i Kółek myśliwskich—znaczna część udziałów została już zadeklarowana.

Zwracamy się dziś do Towarzystw łowieckich i do ogółu prawidłowych myśliwych z wezwaniem do wzięcia nielicznych już pozostałych udziałów, przez co staną się współwłaścicielami naszego pisma oraz „Bibljoteki Myśliwskiej".

Niechże apel Polskiego Związku Myśliwych nie pozostanie bez skutku. Niech każde Kółko przyczyni się do powstania Myśliwskiej Spółki Wydawniczej — niezbędnej kulturalnej placówki.

Deklaracje na udziały (po 120 złotych, płatne ratami do 1 października) przesyłać należy na ręce Prezesa Komitetu Organizacyjnego Myśliwskiej Spółki Wydawniczej, p. Józefa Błeszyńskiego, Warszawa — Chmielna 32 lub na ręce red. J. Ejsmonda, Warszawa, Plac Trzech Krzyży 12 m. 2a.

Pieniądze przekazywać należy na konto „Przegl. Myśliwskiego" w P. K. O. Nr. 7595.

Myśliwska Spółka Wydawnicza obejmuje wydawnictwo „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego",

które to pismo zamierza w bliskim czasie przekształcić w ilustrowany tygodnik myśliwski.

Zgrupowawszy dokoła pisma najznakomitszych pisarzy myśliwskich w Polsce, możemy śmiało patrzeć w przyszłość i zwycięsko walczyć o lepsze jutro naszego łowiectwa.

Wobec wspólnych wrogów, zagrażających bytowi myśliwstwa w Polsce, cały obóz myśliwski zjednoczył się pod przewodem Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń łowieckich. Pismo nasze będąc wyrazem niezależnej opinji łowieckiej w kraju, stać będzie zawsze na stanowisku popierania wszelkich poczynań Centralnego Związku i ręka w rękę z „Łowcem Polskim" służyć umiłowanej sprawie polskiego myśliwstwa.

Myśliwska Spółka Wydawnicza będzie wydawać „Bibljotekę Myśliwską",

która obejmie monografje polskich zwierząt i ptaków łownych, a w pierwszym rzędzie monografje dzika, jelenia, sarny, lisa, zająca, głuszca, cietrzewia, kuropatwy, bażanta i ptactwa błotnego.

Pozatem „Bibljoteka Myśliwska" wydawana przez Myśliwską Spółkę Wydawniczą dawać będzie podstawowe dzieła polskie i cudzoziemskie o układaniu wyżłów, o broni myśliwskiej, o teorji strzelania, o historji myśliwstwa, o hodowli zwierzyny, o literaturze łowieckiej oraz bogaty dział beletrystyczno-myśliwski ze wspomnieniami łowieckiemi znakomitych podróżników-myśliwych na czele.

Od Przyjaciół naszego pisma i od P.P. Udziałowców Myśliwskej Spółki Wydawniczej zależy w jakiej mierze i w jakim czasie Spółka urzeczywistnić będzie mogła swoje szerokie plany wydawnicze.

Myśliwska Spółka Wydawnicza będzie posiadać własne tereny łowieckie.

Komitet Organizacyjny Myśliwskiej Spółki Wydawniczej rozpoczął czynić kroki celem uzyskania dla przyszłej Spółki pięknych terenów łowieckich na Wschodzie. Sprawa jest na najlepszej drodze.

Komitet projektuje urządzenie jesienią, po zawiązaniu rejentalnem Spółki, wspólego polowania zapoznawczego dla P.P. Udziałowców.

KOMITET ORGANIZACYJNY
„MYŚL. SPÓŁKI WYDAWNICZEJ".

PANI POLUJE



Rys. E. Bartłomiejczyk.

Począwszy od dziewiczej Diany i słowiańskiej czystej Dziewanny, bogini łowów, poprzez romantyczne myślistwo z sokołem i polowanie na grubego zwierza z altan królewskich, aż po dziś dzień Pani odgrywała i odgrywa ważną rolę w łowiectwie...

Ale wpływ Pani nie ogranicza się na braniu przez nią udziału w myśliwskiej zabawie. Wiemy dobrze, jaką moc czarowną posiada piękne kolanko i ile oglądaniu go zawdzięczamy cennych trofeów. Ile sarn i zajęcy, cietrzewi i bażantów przeniosło się na tamten świat — z winy pokazanego kolanka.

Pozostaje ciekawe, pod względem historycznym, pytanie, co pokazywać musiały nasze prababki naszym praszczurom, by ci mogli ubijać setki żubrów i turów, łosi i niedźwiedzi...

Starsze panie wywierają również wpływ na łowy — zwłaszcza, jeśli spotkać je, idąc na polowanie. Pech jest równie niewątpliwy, jakby zając przebiegł przez drogę. — Niezmiernie skomplikowana sytuacja powstaje, jeżeli niefortunny zając przebiegnie drogę starszej pani. Starsza pani wraca do domu zła, że jej zając drogę przebiegł, zając zaś wraca do domu jeszcze bardziej zły, że mu drogę przeszła stara baba.

W zamierzchłych czasach, gdy człowiek pierwotny zmagał się z otaczającą go przyrodą, łowy były śmiertelną walką o byt. Pierwsze mieszkania ludzkość zawdzięcza również łowiectwu. Mieszkaniec puszcz prastarych stoczył o nie bój z olbrzymim niedźwiedziem, wyparł go z grot i zamieszkał w skalnych czeluściach. Myślistwo rozstrzygnęło w ten sposób pierwszy kryzys mieszkaniowy.

Jaskiniowa Pani przytuliła się z wdzięcznością do myśliwego, zwycięzcy dzikiego zwierza, i poprosiła go pieszczotliwie, by jej ofiarował... ciepłe futro... Stajemy tu u pra — źródeł damskiej konfekcji, która też z łowiectwa dzieje swe wywodzi...

Mijały wieki, a Pani polowała... Najpierw polowała w wolnych, niezmierzonych i niczyich kniejach... Potem przyszły czasy królewskie i łów stał się własnością monarchów. Żaden myśliwiec nie śmiał tknąć olbrzymiego żubra, dzikiego tura, ani bobra — drżąc przed karą śmierci...

Ale cóż obchodzić mogły prawa łowieckie — Panią? Polowała — i kwita! W postaci czerstwej Jagienki szczwała rozszalałego żubra, króla puszcz, choć za to groziła śmierć, i raziła z kuszy bobra na Odstajnem jeziorku — choć za to groził niechybny





kryminał. A przestała polować na grubego zwierza dopiero wówczas — gdy polowanie zostało dozwolone...

I nadeszły romantyczne czasy łowów sokolich... Ptak myśliwski uderzał na białe łabędzie, w walce zaciekłej z czaplą i żórawiem potykał się jak rycerz, walczący o cześć swojej damy, zręczność i siła toczyły bój śmiertelny, a obrotom ptaków przypatrywali się mężowie waleczni i piękne Panie.

Potem zaś nastała obca moda strzelania z ozdobnych altan do wypuszczonej z klatek zwierzyny. Królowie i ich wybranki ognistą bronią razili dzikiego zwierza, ogłuszonego i otumanionego. Były to hekatomby zwierzyny, a „widok krwi", według słów kronikarza, „dodawał smaku obrazom o słodkich uśmiechach niewieścich".

August III otoczył te rzezie niebywałym splendorem. Cały dwór występował w paradnych mundurach. Powozy pełne dam brały udział w łowach. Dziki, wilki i niedźwiedzie puszczano z klatek do sztucznych gajów, skąd je naganka spędzała na pomost, z którego zwierz padał do wody. Król zaś strzelał w lot — otoczony gronem dam — między jednym a drugim słodkim komplementem...

Dziwne czasy przeszły jak sen — czasem złoty, a czasem krwawy. Nowoczesna Dziewanna zmieniła sposób łowów. Szlachetne myślistwo zapomniało o wykwintnych damach z epoki saskiej i o ich bezmyślnych mordach (od słowa: mord!).

Łowiectwo dzisiejsze, oparte na umiłowaniu przyrody i przeniknięciu w głąb jej tajemnic, opętało swym czarem duszę niejednej Pani. I z wygód miejskich namiętność odwieczna woła ją w puszcze głuche o wczesnej wiośnie słodką zapowiedzią toków i ciągu słomek, a jesienią gonem ogarów, będącym milszą muzyką dla ucha łowczyni nad słowa umiłowanego chłopca, a nawet nad słowa dwóch umiłowanych chłopców.

Piękna Pani ma szczęście na łowach i przynosi szczęście innym: jeżeli towarzyszy mężowi—mąż jej zawsze niemal zdobywa rogi; jeżeli mężowi nie towarzyszy i pozostaje w domu — mąż z tem większą pewnością zdobędzie cenne trofeum w postaci rogów.

Jest ich tem więcej, im mąż starszy. Po ich ilości, specjalista z łatwością określać może wiek męża tak, jak myśliwi, po ilości odnóg wieńca, określają wiek jelenia.

Juljan Ejsmond.



Na niedźwiedzia.

Z teki myśliwego.

(Przedwojenne wspomnienie).

Było tylko kilka stopni mrozu, gdym wsiadł na dworcu Mikołajewskim, w Petersburgu, w końcu stycznia r. b., do pociągu kolei Północnej.

Dawno marzyłem o spotkaniu się oko w oko z bohaterem wieków minionych — z „Misiem“, tak już dziś rzadkim, niestety, w lasach litewskich, w rojstach Polesia starego!

— O, to, panie kochanku, zwierzyna co się zowie, warta strzału i oblicza pańskiego, a nie szarak marny lub suseł koroniarski! — niezawodnie wykrzyknąłby książę Karol Radziwiłł, prototyp, może ostatni, „de re et nomine“, magnata-łowca dawnego autoramentu.

Wykrzyknik taki ordynata na Nieświeżu, pana na Ołyce, Mirze i Białej i mnogich włościach, w tytule jego nawet nieistniejących,—applauz by szczery wywołał i adherencję całkowitą wśród szlachetnych antenatów naszych, na tle smutku lat przebolałych, słodko po znojach i krzyżach życia wczasu dziś zażywających!

Lokomotywa zaledwie kilka lat temu zbudowanej kolei Wołogodzkiej, biegnąc wśród bieli śniegów przeogromnych ze stateczną szybkością z czasów Imć pana Stephensona i snopami iskier od drzewnego opału znacząc swą drogę — coraz dalej unosiła mnie od Petersburga, od jego gorączki i jego sarabandy neurastenicznej.

Ogarnął mną ten stan spokoju i ukojenia, jaki następuje zawsze, gdy marny robak ludzki do łona świętej Matki Przyrody kornie się schyla!

Nawet ten dym drzew brzozowych, dających siłę pociągową staremu parowozowi — wywołuje wspomnienia ubiegłych lat dziecińśtwa!

O czwartej w nocy wylądowałem na przystanku, w zaspach śniegowych zatopionym, wśród lasów świerkowych, rozścielających się na setki kilometrów, aż hen! ku tundrom Archangielskim.

Odchodzi powoli stateczny, staroświecki pociąg, zanurzając się w horyzonty coraz głębszej północy. Jedyny stróż stacyjny skwapliwie gasi jedyną latarnię.

Wchodzę do izdebki, noszącej szumną nazwę poczekalni I klasy.

Dwie jakieś zakutane figury, w zamaszystych czapkach Nansenowskich, w kożuchach i „walonkach“, z iście wielkorosyjskim akcentem zwracając się do mnie, meldują o sytuacji obecnej.

Muszę dodać, że „na niedźwiedzia“ wybrałem się był w towarzystwie najmilszego mego i długoletniego towarzysza wierzchowieńskich i innych polowań p. Aleksego Rubinszteina.

Myśliwy to w całem znaczeniu tego słowa, prawdziwy Wilhelm Tell jako strzelec, a doskonały hodowca zwierzyny w swych Owruckich majątkach. Jako człowiek—to typ gentlemana ujmująco miłego.

W Petersburgu jeszcze zawiadomił mię pan Aleksy, że już umówił się z jednym z kantorów myśliwskich, dostarczających „ad hoc“ niedźwiedzi [1]), i że posiada trzy „barłogi“, z których w jednym siedzi niedźwiedzica z młodymi zeszłorocznymi łączakami. Barłogi te miały się znajdować w powiatach Tichwińskim i Białozierskim, z powodu zaś znacznej odległości od stolicy i kolei, są dość tanie, gdyż po ośmnaście rubli od puda tylko. Pod Petersburgiem płacono od dwudziestu pięciu do trzydziestu rubli, przy warunkach wystawienia na strzał bestji, niezależnie od zabicia lub pudła.

Jechać wypadało tegoż dnia wieczorem, gdyż odpowiednia aura, z mrozem kilkustopniowym, skłaniała bardzo ku temu.

Żadną jednak miarą nie mogłem tego dnia skorzystać z wycieczki. Stanęło tedy na tem, że mój towarzysz sam jeden wyjedzie, upoluje niedźwiedzicę z młodymi, a ja za 24 godziny przyjadę i wezmę udział w łowach na pozostałe sztuki.

Miejscowi włościanie, tak zwani „okładczyki“, mieli oczekiwać na mnie na stacji i zawiadomić, dokąd mam jechać i w jakiej wiosce czy osadzie znajdować się będzie pan Rubinsztein.

— Dziś „barin z Pitiera“ brał na barłogu niedźiedzicę, nocować będzie w „dierewni Andronikowej“, jutro zaś „waźmiom“ dwa drugich „zwiera“, z których jeden leży około wsi Mierzej, w odległości ośmdziesiąt dwu wiorst. Koniki, barin, czekają siadaj i jedź!

— Popasać będziemy—ciągnął dalej „mużik“—i napijem się „czaju“ u mego przyjaciela, Wasyla Iwanowicza Wieniczewa, na czterdziestej piątej wiorście.

— Nu, z Bogom, w dorogu!

* * *

Nocleg we wsi Mierzach, u „okładczyka“ Wasilja Fiodorowa, i bliższa znajomość z miejscową ludnością, dała mi dużo do myślenia. Przekonałem się, że warunki przeżytego bytu, dawne swobody prastarego „Wiecza“ nowogrodzkiego — poprostu mówiąc—parlamentu ówczesnej Nowogrodzkiej Republiki pozostawiły w tutejszym ludzie ślad niezatarty.

Istnieje bowiem do dziś dnia wśród ludu tego prastara kultura, która się przejawia w niezwykłej gościnności, w czystości domostw, w pięknych patrjarchalnych obyczajach.

Gdym legł na spoczynek w „świetlicy“, z mocnych bierwion zbudowanej—mimowoli stanęły w mej wyobraźni obrazy dawnej Nowogrodzkiej Republiki, o której mówiono, że jeden „Bóg chyba Nowgorod Wielki ujarzmić zdoła“... Co to był za potężny rozkwit jej handlu, jakie stosunki rozległe z Genuą słoneczną, z miastami Hanzeatyckiemi, z królową Adrjatyku Wenecją!...

---

[1]) Niejaki p. Papengut.

Galary nowogrodzkie drzewem, skórami i „pieńką“ ładowane — dzięki całej sieci kanałów, godnych Rzymskiej epoki — do krańców świata, zda się, docierały Te okręty nowogrodzkie pruły wód południowych fale błękitne, pod „loggetą Sansovina“, pod pałacem Dożów, śród marmurów Kararyjskich opuszczały swe kotwice!

A w domu, nad brzegami jeziora Ilmeń, marząco drzemały puszcze odwieczne, pełne zwierza srogiego, żyli „swoi“ ludzie, odwagi i tężyzny pełni, „bohaterzy“ starożytnych „bylin“.

Ich prześwietne „wiecze”, iście demokratyczne, czyniło rządy w tym kraju tajemniczym i rozległym. A car gromadził i wzywał do siebie tych „ludiej targowych“, ludzi przezornych, mądrych, statecznych.

Gdzież się to podziało?!...

Nadszedł szereg lat okrutnych, krwawym rokiem 1469-ym zakończony — Marfa Posadnica — homeryczna walka o niepodległość — zatopienie miast we krwi potokach — Bartłomiejowa noc, straszna, łunami ziejąca, pięć tygodni trwająca...

I oto dzisiejszy stan rzeczy...

* * *

Spałem już snem głębokim, gdy raptowne przybycie mego towarzysza pana Rubinszteina — z nirwany sennej z trudnością do życia realnego jestestwo moje przywołało.

— Dziś na barłogu padła z mej ręki sześciopudowa niedźwiedzica, coprawda z dość lichą, bo płową szerścią, oraz cztery zeszłoroczne łączaki, każdy około dwupudowej wagi.

— Brawo! brawissimo! gracko się udało!

— Nu, nu, ale i „striełok“ z barina! — z nie kłamanym zachwytem zawołał okładczyk Wasyl Wieniczew. — Tylko co Miśka łeb z barłogu wysunął— bac! gotów! pula *mierz głaz!* A dopiero jak poczną niedźwiadki wyskakiwać, po pierwszem barin dwa nowe ładunki do sztucera—ot, i dublet! Czwarty na „utioki“, a on jego „w ugon“ na kroków sto! Jednem słowem, kak bekasow pereszczołkał, mołodiec ty! da i tolko!

Sen ulotnił się. Jeszcze z parę godzin przeciągnęła się zakąska w towarzystwie poczciwych Nowogrodzian. Podniosły się z posłania płowe główki dzieciaków, porozsiadały się pod piecem rozciekawione rozmową naszą baby i podparły pięściami podbródki... A samowar burczał, świerszcz za kominem świerszczał...

I dobrze nam było w tych głuchych lasach i zaspach śniegowych, wśród zacnych „mużików“ nowogrodzkich!

. . . .

. . . .

Po parogodzinnym odpoczynku, nocą jeszcze, wyruszyliśmy „brać“ drugiego niedźwiedzia.

Ponieważ zwierz już był z barłogu parę razy spędzany, nawet już polowano i strzelano do niego, lecz spudłowano — więc zdecydowaliśmy, po naradzie z „okładczykami“, że zastosujemy metodę „kriczan“ i „jerszej“, z dodatkiem „mołczunow“.

„Kryczanie“, jest to, poprostu mówiąc, naganka, złożona ze stu ludzi, zajmująca „okład“, czyli ostęp, w którym mniemany barłóg ma się znajdować. Naganka ta różni się od zwykłej tem, że alarm swój podnosi, nie ruszając się z miejsca. Gdy niedźwiedzia zoczy ktokolwiek z naganiaczy, wtedy puszcza się psa specjalnej rasy—„łajkę“ sybirską. Zadaniem jest pieska „dać głos” na tropie „Misia“, ogarniać i zabiegać zwierza, turbując go nieustannie, i tym sposobem określać miejsce znajdowania się bestji w ostępie, o ile można dłużej zatrzymując go w kniei. Po niefortunnym strzale obecność takiej „łajki“, w razie rzucenia się „Miszki“ na strzelca-pudlarza— może życie nieraz uratować. Jak pijawka bowiem wpija się wtedy poczciwa „sobaczka“ w najdrażliwsze miejsce cielska rozjuszonego potentata puszcz.

Gdy tylko „jerszy“ charakterystyczne usłyszą szczekanie, natychmiast pięciu lub sześciu doświadczonych „okładczyków“, z toporami lub prostymi kijami w ręku, rzuca się na głos i, okrążając niedźwiedzia, tworzy nowe małe koło wewnętrznej naganki, kierując tak, żeby bądź co bądź na wybrane stanowiska, czyli numery przez myśliwych zajęte, przedmiot łowów koniecznie się wychylił. Zwykle to się udaje, z ogromnem jednak niebezpieczeństwem, gdyż niedźwiedź z usposobienia tchórzliwy, gdy mu jednak kilka razy zrzędu drogę raz obraną przetną — w końcu się zdenerwuje i prawie zawsze, po jakiemś piątem czy szóstem spotkaniu się z nawracającym go „okładczykiem“ — rzuca się na niego.

Wesoła sytuacja wtedy takiego „mużyka“, w „dubinę“ lub nawet siekierę tylko zbrojnego! To też każdy prawie z tych dzielnych ludzi — specjalistów, jeśli tylko lat kilka zawód swój niebezpieczny piastuje — szwank mniejszy lub większy ponosi. Jeden pozostaje bez ucha, innemu parę palców brak u ręki, ten bez oka, ów ze złamanem żebrem, lub wielką blizną na twarzy.

Rola „mołczanów“ wreszcie jest taka sama, co i „okładczyków“, to jest polega na zawróceniu zwierza, gdyby flankami uchodzić zamierzał. Są to poprostu uzbrojeni myśliwi na stanowiskach linji ognia.

Nie ukrywam, że jadąc na łowy, odczuwałem od czasu do czasu pewne uczucie dość „markotne“— tembardziej, że był to mój pierwszy „debiut niedźwiedzi“. Pamiętam o podobnym stanie temu lat kilkanaście, przy pierwszem spotkaniu się z dzikim odyńcem. Oprócz tego katastrofa, której uległ jeden z moich znajomych kilka dni przedtem, na podobnem polowaniu — niewesoło mnie nastrajała.

Ale trwało to tylko dopóty, dopóki Wieniczew nie postawił mnie na stanowisku

Mój towarzysz zajął numer o jakie kroków piętnaście odemnie, w gęstej, młodej świerczynie, tak żeśmy się wzajem widzieć nie mogli.

Spokój bajeczny, chęć wzięcia celnego strzału i zdobycia „coûte que coûte“ rzadkiego trofeum zawładnęła w zupełności moją duszą.

Umówiliśmy się, że będziemy strzelali tylko w głowę, gdyż takie tylko pociski dają zupełną gwarancję. Niedźwiedź, nawet w serce rażony, odczuwa mniej intensywnie od innej zwierzyny cios ostateczny i gotów „sunąć“ jeszcze kilkanaście kroków. Bezpośrednia obraza kulą cząstek mózgowych— obezwładnia go piorunująco!

Cisza, z najdoskonalszych najdoskonalsza, zaległa bezkresny bór świerkowy. Od czasu do czasu tylko jakaś sikorka północna w gęstwinie zakwili, stadko krzywodziobów z głośnem wabieniem przeciągnie, zając bielak na chwilkę wyskoczy, ciekawie popatrzy i znowu da nura w zielone świerczyny...

A potem spokój w Przyrodzie — ten święty, przecichy spokój, który się udziela duszy myśliwego!

Na prawo odemnie mała polanka kilkometrowego obszaru — w krąg ściana lasu nieprzebyta!

Nagle rozlega się strzał sygnałowy. Ryk naganki „kryczan" biegnie po leśnych przestworzach. Aż drżą świerki stare od tej muzyki niezwykłej.

Sekundy — wagę godzin nabierać poczynają.

Oto słychać głos „łajki" o kroków kilkanaście!!!

Ciemna, ogromna sylweta zamajaczyła w drągowinie. Stoi nieruchomo, wysłuchując. Niestety! widzę tylko kadłub!

Strzał więc niemożliwy!

Nadbiega „łajka". Opędzając się od niej, jak od muchy natrętnej, zawraca bestja ukośnie, w kierunku mego towarzysza. Uderza mi fala krwi do serca. Przepadło wszystko! „lasciata ogni speranza"!

W tej jednak chwili, nie widząc już olbrzymiego kadłuba, dostrzegam w luce między drzewkami — potworny łeb!

Jednocześnie niemal padły dwa suche sztucerowe strzały. Moja kula uderza poniżej ucha, w szyję, — mego towarzysza powyżej oka.

Zakotłował się pył śniegowy. I wielka bestja zwaliła się z rykiem.

Legła wspaniała, czarna. Purpura krwi ściekała z ran na białe puchy śniegu...

Zbiega się naganka, „okładczyki" z radością winszują, a baby, złorzecząc, przeklinają potwora poległego, za krzywdy w ciągu lata we wsi wyrządzone.

— A kto krowę naszą zeżarł?!

— A co wiesz ty, podła bestjo, o naszym „kormilcu", gniadym Wańce?!

Mnie rozsadza radość ogromna, zadowolenie wielkie z najsilniejszego w życiu wrażenia myśliwskiego!

Dopiero później, gdy na drągach niesiono, jak szmatę, ciemne cielsko groźnego mocarza, o zielonych, rozwartych, lecz stygmatem śmierci przyćmionych źrenicach, ze łbem bezwładnie zwieszonym — przyszły myśli smutniejsze, i refleksje jakieś, i trochę nawet żalu.

Bo żył sobie „Miś" w głębinach tajgi Wołogodzkiej, nie wadził mi zupełnie—na zimę w barłog się zakopywał — o setki wiorst od mego kraju — i otom przyszedł z dalekich stron, by mu życie odebrać.

Po co? — dlaczego?

„Miś" zginął śmiercią bohaterską, na stanowisku, wśród rodzinnych swych borów i lasów.

A ja powracam — z trofeum!

Mea culpa..

A jednak—nie wyrzeknę się, dalibóg, i w przyszłości nowej wycieczki po nowego Misia!

. . . .

Adam hr. Rzewuski.

Ochrona Przyrody.

(Dokończenie).

III.

Należy przyznać, że i w Polsce, mimo tego, że niemożna było „nadążyć zagranicy w organizacji ochrony ginących skarbów swojej przyrody" (Szafer), idea ochrony przyrody znalazła należyte zrozumienie. Przecież już w 1869 roku sejm galicyjski wydaje ustawę, chroniącą kozice i świstaki w Tatrach, ustawę, o kilkadziesiąt lat wyprzedzającą podobne w krajach ościennych; również już w 1888 r. powstaje wśród wielbicieli „Towarzystwo Ochrony Tatr polskich" z projektem utworzenia z Tatr parku narodowego na wzór amerykański. Zawdzięczając pracom i zabiegom Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika we Lwowie i w Krakowie, Komisji fizjograficznej Akademji Umiejętności w Krakowie i Polskiemu Towarzystwu Krajoznawczemu w Warszawie, zebrano tyle materjału, że już w czasach powojennych mieliśmy się na czem oprzeć. W czasach przedwojennych profesorowie Nowicki (Kraków) i Raciborski (Lwów—Kraków) stali się prawdziwymi apostołami ochrony przyrody w Polsce. Na skutek ich hasła koło 1890 roku powstaje, dzięki hr. Włodzimierzowi Dzieduszyckiemu, pierwszy w Polsce rezerwat w Pieniakach w paśmie Woroniaków, „na granicy geograficzno-roślinnej między tak różnemi krainami, jak Podole i Wołyń". W ten sposób został zachowany „obszar 40 morgów nietkniętego prawie ręką ludzką drzewostanu bukowego", który „stać się może terenem poważnych studjów i spostrzeżeń przyrodniczo-leśnych" *). Podobny rezerwat, przechowujący „w sobie nieskalane piętno pierwotnej przyrody regla dolnego", utworzył hr. Stadnicki w Nawojowej w Karpatach. Również dużo zrobiono w byłym zaborze pruskim, dzięki przedewszystkiem temu, że na tym terenie działał Conwentz; to też tam zostały otoczone rządową opieką stanowiska cisów, brekinji, a również między innemi utworzono niemiecki rezerwat w puszczy Tucholskiej na Pomorzu dla ochrony znajdujących się w większej ilości cisów.

---

*) Szafer W. Pamiątka Pieniacka. Sylwan.

Popularne więc było, zwłaszcza wśród przyrodników, hasło ochrony przyrody, kiedy wybuchła wojna. To też mimo wichury wojennej praca nie została przerwana: za czasów okupacji niemieckiej Komisja Ochrony Przyrody Polskiego Tow. Krajoznawczego opracowywała odpowiedni memorjał do Tymczasowej Rady Stanu; również i Towarzystwo Przyrodników im. Kopernika w swym oddziale krakowskim podjęło ten ruch. Z tych organizacji wyłoniła się już w wolnym zjednoczonym państwie Polskiem „Państwowa Komisja Ochrony Przyrody", powołana w 1919 roku przez Ministerstwo Oświecenia; na czele tej Komisji stanęli Dr. W. Szafer, Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Dr. Jan Gwalbert-Pawlikowski, Dr. E. Kiernik (od marca 1921 r.), Dr. W. Kuźniar, Dr. St. Kulczyński i inni. Praca Komisji poszła w kilku kierunkach: prócz głównego zadania ochrony znanych już i zagrożonych objektów przyrodniczych, oraz „stworzeniu parków przyrody" w Polsce, należało jeszcze poznać zabytki przyrodnicze i uzupełnić ich inwentarz oraz spopularyzować hasło ochrony przyrody wśród szerokich sfer społeczeństwa drogą broszur, odczytów, artykułów i t. d. Co pewien czas Komisja O. P. wydaje pismo p. t. „Ochrona Przyrody" (wyszły już cztery duże zeszyty), z których nie tylko dowiadujemy się o działalności Komisji, ale również mamy szereg artykułów naukowych. Przez wydawnictwa te pragnie Komisja O. P. „zetknąć się bezpośrednio ze wszystkimi, którym drogą jest polska ziemia i którzy słyszą i rozumieją jej odwieczną pieśń życia, w której nasze ludzkie życie jest tylko jednym akordem".

Zawdzięczając działalności Komisji, ochroniono: przepiękny las modrzewia polskiego na Chełmowej Górze u stóp gór Świętokrzyskich, jeden z większych lasów cisowych w Europie w Kniaźdworze pod Kołomyją, jedyny w swoim rodzaju las lipowy pod Muszyną (pod Nowym Sączem), aleję lipową w Puławach, szereg zabytków w Wielkopolsce i inne. Przedewszystkiem jednak stworzono kilka rezerwatów, z rezerwatem w puszczy Białowieskiej na czele. Puszcza Białowieska, obejmująca największy obszar leśny na niżu Europy środkowej, przed wojną była chronioną jako teren polowań cesarskich. Niewątpliwie największą atrakcją puszczy były żubry. Wichura wojenna przelała się i przez puszczę, nadszczerbiła ją bardzo, a przedewszystkiem wytępiła to, co było puszczy największą ozdobą, t. j. żubra. Mimo to zachowanie choć części puszczy w jej pierwotnym stanie było sprawą dla Komisji pierwszorzędną. To też w dniu 29 grudnia 1921 r. w Departamencie Leśnictwa Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych wobec przedstawicieli Ministerstwa i Komisji podpisano protokół, na mocy którego postanowiono: „utworzyć w puszczy Białowieskiej następujące rezerwaty:

1. Rezerwat ścisły w nadleśnictwie Browskiem...

2. Rezerwat ścisły sosnowy, położony w nadleśnictwie Królewskiem...

3. Rezerwat ścisły jodłowy w Cisówce...

4. Rezerwat częściowy w nadleśnictwie Browskiem z drzewostanów, położonych na północ od polany Białowieskiej, graniczący od północy z rzeką Smożnią, przechodzący na zachód za rzekę Narewkę do nadleśnictwa Hajnowskiego... Otaczając miejscowość Zamczysko, na wschodzie rezerwat ten graniczyć będzie z rezerwatem ścisłym № 1.

5. Rezerwat częściowy, biegnący pasem szosy z Białowieży do Zwierzyńca, szerokości 500 m. z obu stron. Prócz tego postanowiono:

Zaprowadzić kolonję bobrów na rzece Narewce, bliżej jej źródła, w miejscu gdzie niema spławu.

Zachować cenne okazy drzew w całej puszczy, zwłaszcza otoczyć ścisłą opieką ewentualnie spotkane cisy. Ochraniać cenne gatunki fauny leśnej, jako: łosie, bociany czarne i żubry, zarówno w puszczy, jak i na całym terenie państwa.

Rezerwaty ścisłe wyłączone będą od wszelkich zabiegów gospodarczych, w szczególności od usuwania wykrotów i złomów, w rezerwatach częściowych będą usuwane leżące drzewa iglaste ze względu na niebezpieczeństwo owadów. Wywroty drzew liściastych mogą być usuwane, pożądanem jest jednak częściowe pozostawienie ich na gruncie, gdzie tworzyć będą siedlisko dla niektórych okazów flory i fauny. W ten sposób powstał u nas pierwszy duży rezerwat, w zupełności zasługujący na miano *„polskiego parku przyrody"*. Prócz tego mamy już gotowe rezerwaty mniejsze na Pomorzu—t. zw. „Cisowy Bór" w Puszczy Tucholskiej z przepięknem skupieniem cisów, torfowisko niezwykle ciekawe dla przyrodników w Limach pod Chełmnem—z brzózką karłowatą (te ostatnie dwa rezerwaty zostały utworzone przez niemców przed wojną); w Kieleckiem rezerwaty stepowe w Jaksicach i Bogucicach, oraz chroniony las modrzewiowy na Chełmowej Górce; w Małopolsce rezerwat im. hr. Drohojowskich w Czorsztynie, razem z malowniczemi ruinami nad Dunajcem. Prawie na ukończeniu są starania o utworzenie rezerwatu z jeziora Świtezi w Nowogródzkiem, jeziora, które łączy w sobie niezwykle ciekawą przyrodę z przepiękną tradycją ballad Mickiewicza.

Przy wyborze terenów na „parki przyrody" lub rezerwaty, należy prócz miejsc specjalnie ciekawych i proszących się wprost o ochronę, jak np. las cisowy w Kniaźdworze pod Kołomyją, bardzo ciekawa pod względem roślinności Itawska Góra pod Chełmem, „niebieskie źródła„ pod Tomaszowem Rawskim i inne, kierować się zasadą, aby każdy charakterystyczny krajobraz polski był w zespole tych rezerwatów reprezentowany. A więc krajobrazy górskie będziemy mieli zachowane w „parku narodowym" w Tatrach [1]) w rezerwacie Pienińskim, na szczycie Babiej Góry, w ostępach dziewiczej puszczy w Beskidzie Wschodnim (las limbowy nad Łomnicą). Na wyżynie Małopolskiej prócz wymienionych rezerwatów stepowych, są projektowane w malowniczej dolinie Ojcowskiej, w Łysogórach, na Pieprzówkach pod Sandomierzem, w malowniczej dolinie Kazimierza nad Wisłą. W krainie wielkich dolin wspaniały rezerwat już mamy w puszczy Białowieskiej, a prócz tego jest projektowany i bardzo bliski zrealizowania rezerwat w puszczy Kampinoskiej pod Warszawą.

W krainie wielkich jezior prócz wymienionej już Świtezi Nowogródzkiej, jest w przygotowaniu utworzenie rezerwatu z jeziora Wigierskiego, nad brzegami którego już od kilku lat pracuje pierwsza

[1]) Patrz—Stanisław Sokołowski: „Tatry, jako park narodowy". Państwowa komisja Ochrony Przyrody № 4. Kraków 1923.

w Polsce stacja hydrobiologiczna. Wreszcie bardzo ważnem będzie utworzenie parku przyrody nad brzegami Bałtyku — złożymy tem najlepszy hołd odzyskanemu po latach morzu polskiemu.

. . . .

W ten sposób ziemie polskie będą miały szereg miejsc wyzwolonych z nieczułej ręki cywilizowanego człowieka, który „psuje nam to wspaniałe dzieło Boże i z uroczego ogrodu robi tylko pustynię“. I jeżeliby nawet człowiek zmieniał dalej krajobraz ziem naszych, odpowiednio do swych celów, to te skrawki, na wieki w postaci rezerwatów utrwalone, będą dawały pojęcie, jakim był pierwotny krajobraz polski i w jakich warunkach przyrodzonych tworzyła się nasza dzisiejsza kultura, A gdy te nasze zamierzenia zupełnie zrealizujemy, to wtedy z dumą przypomnimy sobie to, co pisał jeden z apostołów kultu piękna w przyrodzie, wielki pisarz i filozof angielski John Ruskin:

„Naród nie inaczej staje się godnym ziemi i krajobrazów, które odziedziczył, jak tylko kiedy przez swe czyny i przez swą sztukę zostawi je piękniejszemi jeszcze dla swych dzieci“.

Pisałem w Domu Kasy Mianowskiego
nad Świdrem 10/VII 21 r.

January Kołodziejczyk.

O hodowli bażanta królewskiego (revesi)

oraz jego hybryda z bażantem łownym (torquatus mongolicus).

Ponieważ — dzięki Bogu — wracamy do stosunków normalnych u nas w Polsce — pomału zaczynają właściciele terenów łowieckich nosić się z zamiarami ożywienia łowisk wspaniałym objektem myśliwskim, jakim niezawodnie jest bażant. Uważam okres doby obecnej za bardzo odpowiedni do podzielenia się z Szanownymi Kolegami hodowcami i amatorami przyrody swą długoletnią praktyką pod tym względem.

Zdaje mi się, że ta kwestja powinna zainteresować — oprócz osób prywatnych — także i Stowarzyszenia oraz Kółka Myśliwskie.

O ile mi wiadomo, w dawnym zaborze rosyjskim — a sądzę podobnież w Małopolsce i Księstwie — nigdy i nikt nie posiadał w swych rewirach w celach odstrzału „revesi“ — tembardziej mieszańców, czyli hybrydów tego gatunku ze zwykłym bażantem.

Bażant krolewski, jako prawdziwie *królewski* ptak łowny, upiększał tylko bardzo nieliczne rewiry Czech, Węgier, Anglji, Francji, u nas uważany był jako „oiseau de volière“.

W rzeczywistości tak nie jest. Na swych, tyle drogich memu sercu terenach Wierzchowieńskiego mego majątku (Ukraina), będących, niestety, dziś w posiadaniu Czyngis-Chanów bolszewickich, jeszcze w pierwszych latach stulecia, przy współpracy cennej wysoce wykwalifikowanego dyrektora hodowli mej, jakim był i jest p. Maciej Hońko, udało się odrazu świetnie postawić całą tę zupełnie u nas nową imprezę.

Próby zasiedlenia rewirów własnych kusakami (tinamu) — podówczas w 1903—1908 latach — intensywnie reklamowanymi, szczególnie przez „Faisanderie de Mériel“ (Seine et Oise) pana Gallichet, oraz „Thierhandlung“ Gudery w Wiedniu i pewien odłam ówczesnej prasy łowieckiej francuskiej — okazały się najzupełniej niefortunnemi. Kilometrowe wyciekanie, lot ciężki i wstrętny ogromnego chruściela z obwisłemi nogami, jednem słowem — istne czupiradło i parodja strzałowa.

Co się tyczy brązowych indyków i dzikich perliczek, miałem możność zapoznania się z niemi na niektórych cudzych łowiskach, a mianowicie: z indykami u hr. Berga (Studzienica, Kamienica — powiatu Krzemienieckiego), z perliczkami zaś w lasach korsuńskich (Ukraina) ks. Łopuchinowej.

Na linję strzału — piechotą, sznurkiem wychylające się indyczki, perliczki, obsiadające jak kury zwyczajne domowe drzewa nad samą głową strzelca — mogą stanowić rozkosz dla jakiegoś chyba dzisiejszego „nouveau-riche'a“, odrazę największą wzbudzając w myśliwym sportowcu.

Z próbami hodowli, w mych Wierzchowieńskich bażantarniach zwykłych szarych kuropatw (cinerea) — czerwonych, jakoteż cietrzewi — późniejszem zachowaniu się tych gatunków już na terenach łownych — noszę się z zamiarem zapoznania łaskawych czytelników w następnym swym artykule.

Wracam do „revesi“.

Bażant królewski posiada lot pierwszej klasy, wygląd istotnie rajskiego ptaka, gdy jak rakieta, z ogonem do 70 centymetrów, mknie — lśniąc się cały w promieniach słońca jesieni lub zimy — nad linją strzałów — ze swym tak denerwującym, wręcz odmiennym od zwykłego „ko-ko-kok“ koguta krzykiem.

Porównać chyba da się owo przeciągłe odzywanie się, do drgających, na wysokich li tylko nutach dźwięków — syreny samochodowej.

Hybryd jego, przy tych samych dodatnich właściwościach — ma krzyk trwogi odmienny „sui generis“, lecz też mocno na system słuchowy strzelca działający.

Ogon, co prawda, znacznie krótszy, lecz podobnie do „revesi“ — pręgowany, cały korpus barwy ciemno-wiśniowej, nakrapianej nieco pstrokacizną swego rodzica, z głową i częścią szyi całkowicie białą.

Ogólna wielkość i waga, znacznie większa, niż u najtęższych „mongolicus“.

Jednem słowem, też śliczność w pełnem tego słowa znaczeniu i trzeba być zawodowym ornitologiem, dla trafnego określenia gatunku tego bażanta.

Mieszańce podobne mają dobrą stronę dla właścicieli bażantarń, że stanowią kontyngens wyprodukowany rok rocznie *li tylko* dla celów odstrzału.

Robiliśmy albowiem z p. Hońko doświadczenia w wolierach (parquet'ach) — na pięć kur bażancich zwykłych, dawał się jeden podobny hybryd—kogut.

Jako rezultat—jaj bywała ilość normalna w zamknięciu, 25—30 od każdej kury, lecz wszystkie *absolutnie* niezapłodnione.

Odsetek płci zaś przy krzyżowaniu bażancic łownych z „revesi"—daje prawie wyłącznie samców.

Ta sama proporcja w wolierach stosowała się i do czystej krwi kogutów — jeden na pięć kur właściwych „revesi" — w ostatnim wypadku procent młodych kur był zwykły.

Z tego wynika, że mieszańce owe są „par excellence" objektami odstrzału i to bieżącego sezonu.

Krytyczny dla bażancików okres sześciotygodniowy, przebywały młode „revesi" i hybrydy nie gorzej od zwykłych, powiedziałbym—nawet lepiej.

Odporność zimą na mrozy—fenomenalna!

Nigdy nie widziałem „revesi" lub hybryda, nawet postrzałka — z odmrożoną częścią ciała.

Co się tyczy sposobu zachowywania się względem swych pokrewnych (torquatus), to *stanowczo* w okresie *tokowym*, obecność chociażby paru kogutów królewskich—szczególnie hybrydów (które jako bezpłodne, są prawdziwemi sadystami), jest *niedopuszczalną* w rewirach przeznaczonych dla zwykłych bażantów.

Jeden nawet podobny egzemplarz porozpędza wiosną wszystko wokoło, gdzie pieprz rośnie.

Dlatego też u nas w Wierzchowni odstrzeliwano je *do nogi* co się tylko dało—ocalałe sztuki wyłapywano, tak, że na wiosnę żyjące egzemplarze „revesi" i hybrydy były *pod kluczem w wolierach*. Najlepiej wyznaczyć dla ich hodowli specjalny, oddalony rewir.

Lecz do *zimowych naganek* i walnego odstrzału, mogą śmiało *przebywać* razem.

Niezawodnie, jest pewna mitręga i niedogodności współżycia oraz rozwoju tych dwóch, a raczej trzech odmian, lecz za to wspaniałość samych ptaków, względna jeszcze ich rzadkość u nas, trudności strzału, lot przepiękny—stanowią prawdziwą ucztę, którą myśliwy-hodowca przynosi jako dar drogocenny dla swych zaproszonych gości. Akord ostateczny—gęsto padających od celnych strzałów—cudnych, istnych „oiseaux de paradis" — sowicie wynagradza szczęśliwych posiadaczy i inicjatorów hodowli królewskiej zwierzyny.

Pod względem gastronomicznym i „revesi" i hybrydy, zasługują też na kunszt Vatel'a lub Carêm'a.

Mistrz i głęboki znawca sztuki łowieckiej pan prezes Stanisław Lilpop — przed wojną jeszcze, gdy zaszczycał swą obecnością moje tereny ukraińskie, na których sztuk kilka z jego ręki padło, zachwycony był pięknemi ptakami.

Et c'est tout dire! Hodujmyż więc „revesi" i ich hybrydy! „Szczęść Boże" staropolskie dla hodowli owej cejlońskiej zwierzyny, wśród naszych remiz i ojczystych zagajników.

Adam hr. Rzewuski.

Hodowla i próby wyżłów w Polsce.

(**Praca nagrodzona I-szą nagrodą na konkursie naszego pisma**).

Za czasów dawnej Polski zajmowano się, stosownie do ówczesnego sposobu polowania, głównie hodowlą chartów i gończych. Z chwilą, kiedy po epokowych wynalazkach w dziedzinie puszkarstwa przestano używać sieci w praktyce łowieckiej, a poczęto strzelać do ptaków w locie i do pomykającej drobnej zwierzyny włochatej, wyżeł, dość podrzędną dotąd odgrywający rolę, coraz wybitniejszego nabierał znaczenia i stał się w dobie obecnej nieodzownym, integralnym czynnikiem łowieckim, bez którego myśliwy poprostu obejść się nie może, szczególnie, gdy chodzi o praktykę łowiecką w suchem polu i w wodzie; wysunął się w tych rodzajach polowania nawet na pierwszy plan, nadając im sprawnością swą właściwe życie i właściwy urok.

Lecz nie wszystkie wyżły posiadają warunki, któreby je uzdolniały do sprawnego wykonania zadań, jakich dzisiejszy myśliwy słusznie się od nich domaga. Wyżeł, zdolny do praktyki łowieckiej, odznaczać się powinien dobrą formą zewnętrzną i zaletami wewnętrznemi — przymiotami, które osiągnąć można za pomocą celowej hodowli.

Zanim o zasadach hodowli będzie mowa, wypada wpierw dokładnie określić i wyjaśnić *pojęcia*, z któremi w toku niniejszej pracy częściej spotykać się będziemy, aby tem łatwiej i prędzej zrozumieć dalsze wywody.

Zwierzęta, które zupełnie podobne są do siebie lub wykazują bardzo nieznaczne tylko różnice (np. owce) i między sobą są płodne, tworzą *gatunek*. Przez parzenie się osobników, należących do dwóch różnych gatunków powstają *mieszańce* czyli *bastardy*, niepłodne między sobą, lecz płodne z osobnikami z gatunku rodziców. Przez zmienione warunki bytu (np. nieodpowiednie wyżywienie, inny klimat) może gatunek albo się wyrodzić, nawet wymrzeć, albo też, w pomyślnych warunkach, zyskać na rozwoju, sile i zdrowiu.

Odmiany gatunku nazywają się *rasą* i podlegają tym samym warunkom, co i gatunek.

Rozróżnia się *rasy samorodne* czyli *pierwotne*, do których zaliczamy np. zwierzynę, i *rasy sztuczne*, pochodzące od pewnej *szczupłej liczby wspólnych*

przodków, o ile człowiek wyhodował pewną grupę zwierząt do specjalnych celów.

Do tych ras sztucznych należą np. różne grupy psów myśliwskich.

Rasy sztuczne ulegają łatwo i szybko zmianom form zewnętrznych, w przeciwieństwie do ras samorodnych, które zwolna tylko się zmieniają.

O ile rasa z różnych przyczyn się pogorszy, nazywamy to *zwyrodnieniem* lub *degeneracją*, o ile się celowo ją poprawia, *uszlachetnieniem* lub *odświeżeniem krwi*, które może nastąpić albo przez dobór jakiegokolwiek znakomitego osobnika tej samej rasy, albo przez dobór osobnika z gniazda już uszlachetnionego, lecz także tej samej rasy.

Jeżeli ma miejsce parzenie między osobnikiem, u którego już występują znamiona degeneracji, a osobnikiem, nie mającym żadnych znamion właściwych rasie, wtenczas z czasem powstają osobniki *bezrasowe*, jak to najczęściej u psów zauważyć można.

Inaczej aniżeli przy odświeżeniu krwi ma się rzecz, gdy chodzi o to, aby zalety pewnej rasy przeszczepić na inną rasę, która tych zalet nie ma. W tym razie należy wybrać ojca *innej* rasy, która posiada w wysokiej mierze owe zalety, mające być przeszczepione. Taki sposób hodowli zwie się *krzyżowaniem*. Jeżeli więc hodowca posiada np. krajową długowłosistą suczkę, która zdradza znamiona degeneracji zbyt jasną maścią, lub wadami zewnętrznej budowy i dobiera do niej psa tego samego typu o znakomitej budowie, a maści podżarej bez białych łat—to taki sposób hodowli podciągnąć należy pod kategorję *uszlachetnienia* czyli *odświeżenia krwi*. Jeżeli zaś hodowca do tej samej suczki dobiera np. irlandzkiego setra lub gordonsetra, a więc osobnika innej rasy, to ten sposób hodowli zwie się *krzyżowaniem*.

Podobnie, ktoby chciał poprawić w swojem łowisku jelenie i sprowadziłby karpackiego byka, lub ktoby chciał poprawić zające i sprowadziłby skądinąd zdrowe, mocne koty, ten uprawiałby *odświeżenie krwi*. Kto natomiast sprowadziłby do swoich łań jelenia amerykańskiego Wapiti, albo zasiedliłby swoje łowisko pewną ilością bielaków, ten uprawiałby *krzyżówkę*.

Hodowla w krewieństwie wtenczas ma miejsce, gdy się potomstwo po jednych rodzicach lub dziadach między sobą parzy. Najskrajniejszą jej formą jest parzenie rodziców z potomstwem i naodwrót.

Oba te sposoby hodowli służą wybornie do podtrzymywania, koncentrowania i wzmożenia w potomstwie zalet, o które hodowcy chodzi, lecz zaleca się pamiętać tu, że zjawiają się u potomków często we wzmożonej także sile przeoczone u rodziców *wady*, i inne ujemne, niepożądane skutki. O obu tych sposobach hodowli będzie jeszcze mowa później.

Należy jeszcze kilka słów powiedzieć o osobnikach *„pełnej krwi“* (folblut).

Za najlepsze w świecie uchodziły konie tureckie i arabskie. Anglicy sprowadzili kilka takich ogierów i klaczy i krzyżowali je z ograniczoną liczbą dobranych krajowych koni. Potomstwo po takich rodzicach zapisywano w osobnej księdze rodowodowej. Zakładając tę księgę, nadawano owym sprowadzonym ze wschodu koniom pewną wartość, określając ią liczbą 100, i ustalono jednocześnie wartość mniej dobrych krajowych koni liczbą 0. Para takich koni razem miała w ten sposób także tylko wartość 100, bo $100 + 0 = 100$. Pierwsze potomstwo po takiej parze otrzymało wartość liczby 50, bo $(100+0):2 = 50$, i nazwano je produktem „półkrwi“.

Te półkrwi konie, ponownie krzyżowane z importowanemi, posiadały wartość liczby 75, bo $(100+50):2 = 75$. Konsekwentne prowadzenie hodowli w tym kierunku wydaje w ósmej generacji potomstwo, u którego przymieszka krwi krajowych koni jest zupełnie znikoma, tak, że produkty te są z importowanemi końmi równej wartości. Anglicy nazywali je thourough-bred, wyraz przetłumaczony przez Niemców niezupełnie ściśle na „folblut“. Z wywodów tych wynika jasno, że pojęcie „rasa“ określa co innego, a „folblut“ też co innego, bo *rasa* wyklucza krzyżowanie, a *folblut* jest właśnie produktem krzyżowania.

Zdarza się czasem, że potomstwo po rodzicach z bardzo różniących się gniazd podobniejsze jest do dziadów lub jeszcze starszych przodków aniżeli do rodziców; zjawisko to nazywa się *atawizmem*; będzie jeszcze o nim mowa.

Potencją indywidualną w końcu zowie się zdolność do przekazania w wysokiej mierze potomstwu specjalnych zalet i przymiotów. Często osobnik, zupełnie nawet nierasowy, w bardzo wysokim stopniu przekazuje potomstwu swoje właściwości, z drugiej strony zalety osobników pełnej krwi albo osobników czystej rasy nieraz bardzo słabo, i to stale słabo — wrodzą się w potomstwo.

Wyjaśniwszy w ten sposób istotę pojęć, z któremi się w dalszym ciągu tej pracy częściej spotkamy, możemy przejść do tematu właściwego.

Zasady hodowli wyżłów.

Ponieważ ogół myśliwych słusznie domaga się wyżłów, któreby we wszystkich działach praktyki łowieckiej były zdolne wypełnić zadanie swoje, przeto w poniższych wywodach o zasadach hodowli, mam tylko takie wyżły na myśli, które wszechstronnie mają pracować, a nie wyżłów-specjalistów.

Chociaż zdania hodowców nie są dotąd we wszystkich szczegółach jednolite i nauka o hodowli jeszcze nie może uchodzić za naukę ostatecznie ustaloną, to jednak ogólnem prawie uznaniem cieszą się dziś zasady, o których poniżej mowa.

1) Zapatrywanie, podług którego ten lub ów wyżeł wszechstronny czyli dowodny jest niezdatny do hodowli, ponieważ *nie posiada znamion rasowych*, opiera się na dawniej uznanej zasadzie, według której tylko *rasa* gwarantuje stałą dziedziczność.

Zasady tej nauka *podziśdzień już nie uznaje*.

Dzisiejszy stan nauki, opartej na doświadczeniu, głosi raczej jako pewnik, że w równych warunkach osobnik nieczystej rasy, jako też osobnik bezrasowy, przekazują potomstwu swoje przymioty z taką samą pewnością, jak osobniki rasowe.

Innemi słowy: *Pewność lub niepewność przekazania potomstwu zalet i przymiotów przez osobnika rozpłodowego jest niezależną od tego czy ów osobnik należy do czystej rasy, czy też jest mieszanego pochodzenia; rasowe rozpłodowce bowiem nie przekazują swoich przymiotów pewniej od innych.*

Z pewnika tego wypływa dla hodowli wyżłów dowodnych główna, podstawowa zasada:

Należy *hodować na podstawie cennych przymiotów i ujawnionej umiejętności osobnika bez względu na to, czy jest rasowy, lub nie.*

Błędem jest wykluczać od hodowli wyżły wprawne i wszechstronne dla tego tylko, że nie posiadają takich lub innych znamion rasowych.

Wszystkie wyżły raczej, które wykazały celujące zdolności i umiejętność wszechstronną, nadają się — obojętne, czy są rasowe, bezrasowe, lub produktem krzyżowania — doskonale do rozpłodu i powinny być bezwzględnie do hodowli używane. Im więcej osobniki takie mają przodków—obojętne czy rasowych, czy nierasowych lub produktów krzyżowania — posiadających te same zalety i przymioty, tem pewniej przekazują je potomstwu.

Konsekwencja ta z tego powodu dla nas w obecnych naszych warunkach jest taka ważna, że chodzi nam przecież o wyhodowanie w najkrótszym czasie dzielnych wszechstronnych wyżłów i o rozpowszechnienie ich w świecie myśliwych.

Kto, obok wszechstronnej sprawności, żąda od wyżła jeszcze czegoś więcej, jak np. specjalnej linji twarzy, osobnej formy zawiasów, pewnej specjalnej maści lub osobnej formy uwłosienia, ten oczywiście będzie musiał przy hodowli uwzględnić i te przymioty—lecz taka hodowla przybrałaby już charakter hodowli amatorskiej czy sportowej. Że z takiej hodowli również wyniknąć *mogą* dzielne wyżły wszechstronne, nikt nie zaprzecza; lecz jest to droga o wiele dłuższa, bo nie ulega wątpliwości, że znacznie więcej jest wyżłów z wybitną umiejętnością łowiecką, niż wyżłów, które *oprócz tego* wykazują jeszcze poboczne zalety lub znamiona, które się za zalety uważa. W każdym razie nie sprzeciwia się żadnym względom zasadniczym, jeżeli utworzą się osobne kluby, które zajmować się będą hodowlą specjalnego typu wyżła dowodnego, np. osobny klub, zmierzający hodowlą swą do formy krótkowłosistej, inny, upatrujący swój ideał w formie długowłosistego lub szorstkowłosistego wyżła.

Siła dziedziczna, czyli potencja indywidualna osobników, o jakich wyżej była mowa, nie zawsze jest równą i pewną. Lecz nierówność tej potencji ujawnia się w tej samej mierze także u osobników rasowych lub krzyżowanych. Jeżeli wyżeł dowodny posiada w wysokiej mierze potencję indywidualną, wtenczas jest idealnym osobnikiem rozpłodowym.

Gdyby ktoś zarzucał, że w ten sposób uprawiając hodowlę, nigdy nie dojdziemy do rasy, to jest na to odpowiedź taka.

Po pierwsze: wogóle niewłaściwem jest mówić o jakiejś rasie, gdy chodzi o wyżły kontynentalne. Rasę bowiem tworzy pewna grupa gatunku, która się od innych osobników tego samego gatunku różni pewnemi charakterystycznemi, odziedziczonemi po wspólnych przodkach znamionami. Słusznie zatem można mówić o pewnej rasie bydła, świń, owiec, kur; słusznie mówi się o rasie, gdy chodzi o angielskie wyżły (pointry, setry), które sprowadzają się do bardzo małej liczby, czy zgoła do jednej tylko pary protoplastów, zawdzięczając swój jednolity zewnętrzny wygląd *hodowli w krewieństwie.*

Wszystkie inne typy wyżłów nie stanowią *żadnej rasy* — a więc nie stanowią jej też znane trzy formy naszych krajowych wyżłów: krótkowłosistych, długowłosistych i szorstkowłosistych, bo ich podobieństwo i wyrównana forma (często zresztą bardzo problematyczna) nie polegają na pokrewieństwie, lecz zostały im nadane z zewnątrz, przez hodowcę, doborem podobnych do siebie rodziców.

Po drugie: Znamiona rasy bynajmniej nie potrzebują być *zewnętrzne. Sam zewnętrzny wygląd* nie daje jeszcze rękojmi, czy szlachetny jaki koń np. jest osobnikiem pełnej krwi, lub należy do tej czy innej rasy. Aby więc dojść do rasy, specjalne znamiona zewnętrzne nie są nieodzowne. Kto koniecznie wymaga specjalnych znamion u wyżłów dowoddnych i nie umie uwolnić się od hipnozy, jaką na niego wywiera wyraz „rasa“, niechże poprzestaje na *wewnętrznych* znamionach, warunkowanych celem, w jakim się hoduje wyżły dowodne; znamionami temi są: *zdolności do wszechstronnej praktyki łowieckiej.*

Znamion tych nie można oczywiście poznać *na pierwszy rzut oka*, lecz potrzeba do tego dokładnego i rzeczowego egzaminu. A kto koniecznie już pragnie mieć także *zewnętrzne* znamiona „rasy“ wyżłów dowodnych, niechże wymaga od osobnika: głębokiej piersi, mocnego, krótkiego grzbietu, ukośnych barków, energicznego wyrazu twarzy, praktycznej maści i t. p.; *bez* tych bowiem znamion i przymiotów nie można sobie wyobrazić wyżła wprawnego, wytrwałego, szybkiego i zdolnego do wszechstronnej pracy. Przymioty te należy koniecznie uwzględnić przy doborze rodziców w hodowli.

Nie wytrzymuje też krytyki zarzut, że w razie hodowli z osobnikami nierasowemi ogólna forma wyżła, do której oko myśliwego się przyzwyczaiło, i którą słusznie uważa za piękną, zniknie, ustępując miejsca kształtom zupełnie nowym, dotąd nieznanym. Zalety bowiem i właściwości wyżła dowodnego znajdą się *w tej mierze*, w jakiej ich się domagamy, z reguły w takich tylko osobnikach, które nazywamy według ich ogólnego wyglądu *wyżłami*, gdyż prawie wyłącznie te właśnie psy przez setki lat używano do najrozmaitszych celów łowieckich; niema zatem obawy, aby ucierpiał, lub zgoła znikł ogólny typ psów, które nazywamy wyżłami, mimo hodowli z osobnikami bez specjalnych znamion rasowych.

Mogą jednak także osobniki inne, np. pudle, nadzwyczajne a cenne wykazać przymioty łowieckie, kwalifikujące je w wysokim stopniu do hodowli. W takim razie nie byłoby oczywiście powodu lękać się krzyżowania ich z wyżłami; ze skutkiem zastosowali je zwolennicy pudelpointrów.

Co sądzić o *hodowli na „rasę“* według *znamion zewnętrznych, à priori ustanowionych?*

Otóż w ten sposób nigdy nie może powstać *rasa*, bo nie znamiona tworzą rasę, lecz z rasy płyną znamiona.

Jedną ogólną rasę wyżłów dowodnych stworzyć jest niemożliwością, ponieważ nieodzowna do powstania takiej rasy hodowla w krewieństwie bliskiem, i najbliższem wobec ogromnego rozpowszechnienia wyżłów nie da się przeprowadzić. Kto chce hodować wyżły dowodne, które także na zewnątrz wykazują pewien jednolity typ, niepotrzebny wprawdzie, lecz często ze względów amatorskich i kupieckich pożądany, ten dojdzie do celu, hodując w krewieństwie, ale nigdy za pomocą sztucznych, dowolnych, z góry ustanowionych znamion.

Hodowla zatem według zalet i umiejętności i hodowla w krewieństwie często będą identyczne. Hodowla w krewieństwie stworzy stosunkowo szybko osobną *grupę* mniej więcej *jednolitych* wyżłów — lecz *do stworzenia rasy* z tej grupy potrzebaby długich generacyj, i nie zmienia sprawy ta okoliczność, że hodowcy lubią ze względów egoistycznych pochwalić się swoją własną „rasą", gdy tymczasem wedle prawdy przynależałaby ich nielicznej zwykle hodowli co najwyżej nazwa *„grupy"*, *„rodu"* lub *„gniazda"*.

Streszczam dotychczasowe wywody o zasadach hodowli wyżłów dowodnych w stwierdzeniu, że *istotą* jej jest *zwycięstwo indywidualności nad rasą*.

2) *Zjawiane się u potomków szczególnych znamion po przodkach rodziców* czyli *atawizm należy na ogół do rzadkości*.

Hodowca nie potrzebuje więc zbyt lękliwie liczyć się z tego rodzaju objawami.

Są nawet autorzy, uznani za powagi na polu hodowli i w nauce medycyny, którzy zaprzeczają istnieniu atawizmu, uważając to, co inni atawizmem nazywają, za nowotwory, t. j. za nagłe ukazanie się zupełnie nowych form. I przyznać należy, że istotnie bardzo trudno w konkretnym wypadku rozstrzygnąć, czy zachodzi atawizm, czy nowotwór. Jeżeli np. w pomiocie po pudelpointerskich lub szorstkowłosistych rodzicach znajdzie się pewna liczba szczeniąt krótko lub długowłosistych (objaw nie rzadki), to niejeden skłaniać się będzie do nazywania tego zjawiska atawizmem po przodkach innego typu. Jeżeli zaś po rodzicach czystej rasy pointerskiej w pomiocie znajdą się osobniki szorstkowłosiste (co także się zdarza), to wielu taki objaw nazywać będzie nowotworem. Lecz nie jest pewnem, czy się rzecz nie ma odwrotnie, lub czy w obu przypadkach nie zachodzą nowotwory, albo też atawizm.

Pewien hodowca krzyżował długowłosistą białą suczkę z brązowemi łatami, z gordonsetrem. Ani w pomiocie po tej parze, ani u dalszego potomstwa tegoż pomiotu nigdy nie zjawiły się charakterystyczne podpalenia gordonseterskie nad oczami, koło kufy i nóg.

Atawizm nie jest więc objawem stałym, ani nawet częstym; dlatego wątpliwym byłoby eksperymentem, gdyby ktoś, licząc na atawizm, używał do hodowli osobnika, niezdatnego w praktyce łowieckiej, dla tego, że rodzice tegoż byli doskonałemi wyżłami. Być może, że będzie miał szczęście, lecz o wiele pewniejszą pójdzie drogą, gdy uprawiać będzie hodowlę z osobnikami, które wykazują istotną umiejętność łowiecką, a nie będzie liczył na odrodzenie się u wnuków zalet dziadów.

3) *Rodzice przekazują potomstwu zarodki chorob lub anomalje czyli odchylenia od reguły i inne wady zwykle o wiele pewniej, niż zdrowie i zdolności.*

Do najczęściej zjawiających się u psów skłonności do chorób, zaliczyć należy rachitis i nerwowość.

Angielska choroba powstaje przez różne przeszkody w prawidłowej osyfikacji kości.

Krzywe nogi, za długi lub za krótki grzbiet, pionowa budowa przednich lub tylnych nóg i t. p., często mają swoje źródło właśnie w zarodkach tej choroby u rodziców.

Objawy takie dadzą się usunąć stosunkowo łatwo celową karmą i właściwym sposobem wychowania dotkniętych niemi osobników. Gorzej, gdy skłonność do tej choroby już zdołała się zagnieździć w kilku generacjach.

Nerwowość psa objawia się w drżeniach, bałamuctwie, gorączkowaniu się lub lęku na odgłos strzału, w ustawicznem bojaźliwem zachowaniu się, mimo że zawsze obchodzą się z nim dobrze.

Jasna rzecz, że takie nerwowe osobniki wiele trudności sprawiają układaczowi. Hodowca więc pilnie baczyć winien, aby do hodowli dobierać o ile możności tylko nawskroś zdrowe i normalne osobniki.

Zwracam uwagę na błąd, jaki niektórzy hodowcy popełniają, gdy chcą wadę jednego osobnika naprawić, używajac do hodowli drugiego osobnika — z przeciwną wadą. Niewłaściwemby było np. zbyt małą suczkę pokrywać zbyt wielkim psem.

Potomstwo będzie albo zbyt duże, albo zbyt małe, rzadko średniej wysokości. Podobnie niewłaściwemby było, parzyć suczkę o grzbiecie zbyt długim z psem o grzbiecie za krótkim; należałoby raczej dobrać psa o budowie zupełnie normalnej i prawidłowej.

Rozpowszechnionem jest mniemanie, że wyżlica, pokryta przypadkiem przez kundla, dla hodowli staje się niezdatną. Zapatrywanie to jest nawskroś mylne. Spermatozoidy niezdolne są dłużej niż 10—14 dni utrzymać się przy życiu w organach płciowych matki. Nie mogą one więc przetrwać żadną miarą aż do następnego perjodu grzania się wyżlicy, nie mogą zatem żadną miarą wywierać jakiegokolwiek wpływu na przyszłe jej potomstwo.

4) Wspomniałem kilkakrotnie o *hodowli w krewieństwie*. Uważam za konieczne wrócić do tego

Stwierdzam raz jeszcze, że hodowla w krewieństwie ma ogromne znaczenie, gdy chodzi o koncentrację i ustalenie wybitnych zdolności w potomstwie, lub gdy chodzi o stworzenie pewnego typu wyżłów, czyli o osobniki z pewnemi znamionami zewnętrznej formy. Wyłania się wszakże kwestja, czy hodowla w krewieństwie obok tych dodatnich wyników nie wywiera też bardzo ujemnych skutków na zewnętrzne i wewnętrzne przymioty pomiotu.

Konstatuję, że pewna kategorja hodowców podziela zdanie, iż hodowla w krewieństwie, nawet w najbliższem krewieństwie, w żaden sposób nie działa ujemnie. Inni są mniemania, że można wprawdzie bardzo intensywnie ją uprawiać, z tem jednak zastrzeżeniem, że się będzie przypuszczało do tej hodowli tylko zupełnie zdrowe, normalne, silne osobniki. Ale są też hodowcy i mężowie nauki, którzy twierdzą, że hodowla w krewieństwie, zwłaszcza uprawiana intensywnie i przez dłuższe generacje, powoduje *zwyrodnienie*.

Potomstwo słabnie, traci na odporności, degeneruje zewnętrznie i wewnętrznie, staje się niezdatne do praktyki łowieckiej, niezdolne do rozpłodu, lub w młodym wieku ginie.

Ujemne skutki takiej hodowli objawiają się, ich zdaniem, także w *albiniźmie*, czyli przeważaniu zupełnie białej maści, w przedelikaceniu lub w niedostatecznym wzroście potomstwa.

Jeżeli np. po dwóch podżarych osobnikach blisko spokrewnionych pomiot wykazuje bardzo jasne oczy lub przeważającą białą maść, wtenczas objawy

takie, powiadają, są przestrogą, aby z hodowlą w krewieństwie skończyć.

Kto mimo to dalej ją uprawia, winien być przygotowany na coraz gorsze i niebezpieczniejsze objawy.

Wobec tak sprzecznych zdań ekspertów względem hodowli w krewieństwie, uważam, że stanowisko przezornego hodowcy powinno być w tej materji następujące:

Kto hodowlą swą zamierza osiągnąć pewne zewnętrzne znamiona, osobniki o pewnym jednolitym typie, lub skupiać znakomite zdolności blisko spokrewnionych wyżłów i koncentrować je w ich potomstwie, ten stosunkowo szybko dojdzie do celu za pomocą hodowli w krewieństwie — powinien jednak nie tracić z ócz możliwych ujemnych skutków jej i uprawiając ją postępować bardzo ostrożnie i rozważnie.

Próby wyżłów w Polsce.

Jak w poprzednim rozdziale zastrzegłem sobie, że piszę o wyżłach wszechstronnych, nie zaś o wyżłach używanych jedynie w pewnym określonym kierunku jako specjaliści, podobnie i teraz, pisząc o próbach wyżłów, mam na myśli konkursy czyli popisy wyżłów dowodnych. Mimo to wspomnieć należy o próbach, jakie kilkakrotnie przed szeregiem lat odbyły się pod Warszawą, choć wątpię, czy to były próby wyżłów dowodnych. W każdym razie nie było, zdaje się, z prób tych poważniejszych praktycznych wyników dla hodowli. Nie wiadomo mi, na jakiej podstawie popisy owe urządzono, mianowicie czy odbywały się wiosną na kury, będące w parkach (fieldtrial), czy też jesienią; a jeżeli jesienią, czy tylko w polu na ptactwo, czy też w wodzie i w lesie. Jeżeli odbywały się jedynie wiosną, natenczas popisy tyczyły się tylko jednostronnych specjalistów (pointrów, setrów), o których w pracy niniejszej niema mowy.

Jeżeli zaś urządzano je na szerszej podstawie jesienią, egzaminując sprawność kandydatów w rozmaitych, choć może nie wszystkich, działach praktyki łowieckiej, wtedy oczywiście takie popisy już o wiele poważniejsze miały znaczenie, wykazując nie tylko sprawność kandydatów w egzaminowanych działach, lecz także poziom łowiecki biorących w popisach udział jako menerzy myśliwych; w każdym razie wynikiem takich prób mogły być znaczne *etyczne* wartości, chociaż dla *hodowli* wszechstronnych wyżłów popisy te nie miały poważniejszego a tem mniej decydującego znaczenia. Nic mi bowiem nie wiadomo, czy założono na podstawie ow[...] prób tak ważnej dla hodowcy *księgi rodowodow*[...] z którejby wynikało, jaki istnieje polecenia godny materjał rozpłodowy.

W Małopolsce prób wyżłów, o ile wiem, wogóle nie urządzano.

W Wielkopolsce bardzo ruchliwe w pierwszych latach swojego istnienia Towarzystwo kilka takich urządziło popisów na podstawie szerszej. Odbyły się one w latach 1909—1913 po części w Iwnie, po części w Wojnowicach pod Bukiem.

Na podstawie ściśle określonego regulaminu przypuszczono wówczas do popisów:

1) wyżły już wyszkolone, do pracy we wszystkich działach praktyki łowieckiej z wyjątkiem pracy za farbą,

2) wyżły niezupełnie jeszcze wprawne, któr[...] egzaminowano głównie we wszystkich działach pra[...] w suchem polu,

3) wyżły młodociane przed rozpoczęciem[...] celem stwierdzenia, czy posiadają zdolnoś[...] mioty kwalifikujące je do późniejsze[...] lowej tresury.

Jeżeli opuszczono w kategor[...] min za farbą, i dopuszczono ka[...] drugiej, to stało się celowo; ni[...] zbyt wygórowanych z początk[...] aby nie zniechęcać ludzi dobr[...] wali się układaniem wyżłów; [...] przedewszystkiem budzić *za*[...] sami tych, którzy posiadali [...] chociaż nie wprawne jes[...] łowieckich.

Po przełamaniu pier[...] Łowieckie zamierzało [...] z programu popisów p[...] wie ujawnionych w p[...] ści kandydatów wyda[...] rej miano zarejestrowa[...] drugą lub trzecią nagr[...]

W ten sposób c[...] hodowców cenny [...] zewnętrznej formy[...] gólnych jego za[...] hodowca z ksi[...] sąd, czy ten [...] materjał rozpło[...]

Łowie[...] się popisa[...] najlepsze[...] celu —[...] wecz [...] zamie[...]

wy[...] ty[...] s[...]

nie[...] nych[...] żenie[...] skich[...]

JELEŃ KARPACKI.

(Dokończenie).

Następne lata nie były już takie dobre jak katastrofalną zimą, ale zawsze rezultat z po- ...ólny stan zwierzyny był dość pomyślny,— ...wierzynie przez tą zimę, po części ...tan jeleni stosunkowo do strasznego ...ę, — pozostał jednak na długi okres ...

... byłby z czasem stan jeleni ...niego stanu z przed katastro- ...niestety nadeszła druga jeszcze ...fa — światowa wojna roku 1914. ... moskiewska nawała idzie ...y je przewrócić do góry no- ...co najmniej na Boże Naro- ...iednia.

... jako ekspert leśny w po- ...wróciłem dopiero z koń- ...h dniach września, mie- ...ie patrole, przeważnie ...ce lub wyjeździe mowy ... moskiewski, a zresztą ...jackie i banki pouciekały, ...yło pobrać, zatem rad ... miejscu i cierpieć ...yckiej.

... tych wszystkich ...naczyć, że biedne ...dziły takich ka- ... się nie będą

...ładkiem tej

... 15 maja ... przerwy ...maszy- ...iekle. ...kiew- ... za- ...ko- ...a, ...t

...y ...ierz

... są dziś ... zrobiły? ...żce pod ...ofywać ... z Kar- ...przerwy, ...gierskiej ... austrjac- ...kawalerja, piechota i t. d. Można sobie uprzytomnić jak wówczas Karpaty wyglądały. Znikła przez myśliwych tak opiewana „niczem nie zamącona cisza“, prócz odgłosu ryczącego jelenia, jakoby kapłana w świątyni lub wyjącego wilka.—I czy mógł się tam jeleń lub jaka inna zwierzyna utrzymać? Tu niema dwóch zdań, że co nie padło od kul karabinów moskiewskich, co jednak nie tak łatwo przychodziło, bo każdy myśliwy wie to z doświadczenia, że do polowania na jelenie trzeba ciszy i spokoju, — wszystko uciekało w szalonym popłochu, gdzie oczy niosły, — a przeważnie tam, gdzie nie było pozycyj, gdzie nie było hurkotów, gdzie człowiek nie dochodził. A kiedy moskal wszędzie wlazł, zwierzyna uciekała światami, dokąd, to trudno dokładnie określić. Tam gdzie uciekła, jeśli nie padła ofiarą kłusownictwa, lub wilka, to często zostawała na stałe, nie wracając więcej do dawnej ojczyzny, skąd ją tak straszny huragan różnych „Trommelfeuerów“ wypłoszył. Interesowała mnie ta sprawa ogromnie, i już w czerwcu i lipcu 1915 r. zadałem sobie trud i przelustrowałem najpiękniejsze knieje, gdzie poprzednio jeleni było mnóstwo, ale też ani śladu nigdzie jeleni lub łań nie spotkałem. Później zaś ku jesieni, ku rykowiskom poczęły się pojedyńcze egzemplarze pokazywać. Pewna część i to bardzo mała wróciła lub znalazłszy gdzieś jakiś przypadkowy zakątek pozostała na miejscu, i z tej ilości rekrutuje się obecny stan jeleni w Karpatach. Nie koniec jednak na tem spustoszeniu — dalsze dzieło niszczenia jeleni dokonywały i dokonują straszne, krwiożercze bestje — wilki.

Z temi panami trzeba się bliżej zaznajomić i tak, jak ja, przez 30 lat obserwować te kanalje, jakie one spustoszenia w zwierzostanie jelenim wyrządzają, a wówczas zrozumie myśliwy, czemu tak mało jeleni. Wszelkie narzekania na kłusowników, na przewroty polityczne, bandy etc., są niczem wobec krwiożerczej bestji — wilka. Mam ich na sumieniu na 31 lat tylko 45 sztuk zgładzonych, ale to mało wobec siły rozpłodowej tej kanalji: jak z pod ziemi, wyłażą one ku utrapieniu biednej zwierzyny w zimie.

Muszę dalej zaznaczyć, że gdy wojna światowa w r. 1914 wybuchła, z dniem mobilizacji prawie cała straż leśna musiała ruszać w pole, a ta, która pozostała jako „niebłagonadiożna“ dla moskali, powędrowała na Sybir, gdzie całemi latami jak nie na wojnie to na Sybirze się tułała. Któż więc miał biedną zwierzynę pielęgnować, chronić, a głównie wilki tępić?

Żelaza, jakie tylko moskale znaleźli gdzie przy rewizjach domów leśników czy strażników (nie podobna było skryć, bo i podłogi odrywali) wszystkie pokonfiskowano lub razem z leśnictwami, leśniczówkami i strażniczówkami popalono.

Wobec takiego stanu rzeczy, wilki od r. 1914 prawie do dziś mnożyły się i mnożą, bo i dziś jeszcze trudno o żelaza lub strychninę, jakkolwiek już w wielu leśnictwach zdobyto trochę żelaz, ale to

wszystko za mało, tu potrzeba operować koniecznie żelazami na setki sztuk, tak ażeby każde leśnictwo posiadało conajmniej 20 do 30 sztuk: wtenczas coś by się pomogło.

Mojem zdaniem to ten myśliwy najlepszy, który upoluje przemyślnego, chytrego, nadzwyczaj przezornego i ostrożnego wilka, a nie jelenia. — Co za sztuka podejść do ryczącego jelenia i strzelić w niego, jak w w bramę—w dodatku czekając aby stanął, no i czasem jeszcze spudłować. To nie sztuka, ale wilka karpackiego w tych strasznych wertepach, wąwozach, porębowiskach, niebotycznych górach, a w dodatku w zimie upolować — to zasługa, to sport i największa sztuka myśliwska.

Jak się dowiaduję, to obecny kierownik Nadleśnictwa Mizuń, Radca leśnictwa Wiktor Kosterkiewicz, jeden z najdzielniejszych myśliwych karpackich na grubego zwierza, jak niedźwiedzie, jelenie, wilki, rysie, głuszce i t. d., zeszłej zimy przy pomocy strażnika leśnego Tymka Kora schwytał na żelaza 17, dosłownie siedemnaście wilków, zaś zeszłej jesieni 5, razem 22 wilki, a co tej zimy padło to jeszcze mi niewiadomo. To jest prawie niesłychany i nadzwyczajny rezultat w Karpatach, zasługujący na osobliwsze uznanie. Przyjmijmy niech tych 22 wilków pozostanie w rewirze i niechaj z nich będzie tylko 3 część suk, zatem 8 suk i niech każda suka ma tylko 4 młodych 4×8=32 wilcząt, więc rachunkowo, 8+32+14 (pozostałej reszty psów z 22)=54 wilki razem w *pierwszym roku*.

Ta żarłoczna, krwiożercza bestja, potrzebuje żreć i cóż ma w Karpatach? Jelenie. Ileż potrzebuje zjeść przez jeden rok jeleni? Liczmy tylko tygodniowo 5 sztuk, zatem na 10 wilków 1 sztukę mniej więcej, a więc dla tej zgrai potrzeba na 52 tygodnie 52×5=260 sztuk jeleni, a kto wie czy może nie dwa razy tyle zeżre! Bierzmy tylko 260 sztuk. Ubytek więc 260 sztuk jeleniego rodu, zazwyczaj łań i cieląt, choćby w największym rewirze, robi wielki uszczerbek w rachunku. Skądże więc mają się brać jelenie? I co tu narzekać na kłusowników, bandy lub dzierżawców polowań — to jest niczem wobec wilków. Ta wielka cyfra — 260 sztuk — jeszcze jest małą wobec „sportu wilczego". Byłbym bardzo zadowolony, gdyby wilk zniszczył tylko to, co mu potrzeba do pożywienia — niech ostatecznie zeżre i niech mu służy na pożytek. Ba! ale u wilka karpackiego to nic żarcie, główna rzecz — sport morderczy pod hasłem: zaciąć i zostawić.

Proszę spytać pierwszego lepszego owczarza karpackiego, ile jeden wilk w ciągu nocy jest w stanie w krzaku lub szałasie zaciąć owiec naraz. Były wypadki, że dochodziło do cyfry 40 owiec. Rzadko się to jednak zdarza, bo przy owcach są zwykle 2 lub 3 dobre psy, a przez całą noc owczarze palą ogień i pilnują, względnie hałasują, kiedy pies owczarski swem krótkiem, zupełnie odrębnem szczekaniem na wilka ostrzeże, że jest ten gość w pobliżu. Ale kto biedne jelenie uratuje i obroni?—jedynie ucieczka. Ale ta krwiożercza bestja będzie całemi godzinami biedną zwierzynę gonić, dopóki nie zmorduje do tego stopnia, że bezsilna, prawie bez tchu pada na ziemię, a wilk w oka mgnieniu chwyta za gardło i zwierzyna już zoperowana.

Najstraszniejsze chwile dla jeleni są ku wiośnie, w marcu lub z początkiem kwietnia, kiedy śniegi zaczynają tajać, a nocami przymrozki, lub nawet silne mrozy bywają. Wtedy zwykle na zacisznych, południowych stokach gór, śnieg na zboczach prawie zupełnie taje, jelenie po strasznej zimie gromadzą się dla żerowiska i zatrzymują się dłuższy czas. Niech więc wilki odszukają takie stadko jeleni w nocy, a przytem niech przyjdzie kilka stopni mrozu — wtedy prawie całe stadko stracone—bo kiedy zgraja wilków spędzi je na stoki północne, gdzie śnieg nadtajały skostnieje, wówczas jelenie zwykle załamują się prawie w 2-metrowym śniegu, wilk zaś galopuje po wierzchu i nie potrzebując się dużo natężać, dopędza każdą sztukę, morduje po kolei całe stado, nie naruszywszy mięsa.

To właśnie jest wilczy „sport"!

W roku 1898, 15 marca, przy 12 stopniowym mrozie, w nocy, gdy poprzedniego dnia była odwilż, dwa wilki spędziły z kopnej uboczy 14 łań na stok północny — i wydusiły wszystkie do nogi, nienaruszając mięsa ani krzty, przyczem wszystkie łanie były cielne. Zatem zginęło 28 sztuk rodu jeleniego. Żelaz nie było wówczas, strychniny zużyłem prawie $^1/_2$ kilogr., ale rezultatu nie osiągnąłem żadnego, bo wilk wybredny — poco mu żreć skostniałe ścierwo jelenie, zapieprzone gorzką strychniną, kiedy ma w lesie świeże, ciepłe, chodzące mięso i zamiast herbaty — ciepłą farbę. Wilki te odwiedzały dość często tych zatrutych 14 łań, podnosiły nogi dla zaznaczenia swej wizyty, ale ani jednej sztuki nie tknęły.

Wilk karpacki strasznie przezorny — skoro poczuje, że ludzka noga była w okolicy jego śpiżarki, gdzie sobie przysposobił aprowizację na przyszłość — z pewnością tego kawałka nie tknie, chyba by już ginął z głodu.

Zatem nie dzierżawcy polowań, nie kłusownicy, przyczynili się do zmniejszenia stanu jeleni w Karpatach, tylko—straszna zima, wojna, a w końcu wilki, czyli razem — fatalny zbieg okoliczności, „vis major" — za co trudno kogoś pociągać do odpowiedzialności, lub komuś winę przypisywać.

I jakaż konkluzja z tego, i co w tym kierunku działać, by zwierzostan jeleni poprawić?

Zamknąć polowania na 10 lat, jakby sobie życzył Poznański Polski Związek Myśliwych, mojem zdaniem, nie jest to sposób trafny.

Zresztą, z góry się zastrzegam, że nie narzucam nikomu ani mych zdań, ani zapatrywań, jednakowoż, jako 50-letni praktykant leśny i myśliwski, mając za sobą sporą dozę doświadczeń, jestem za tem, ażeby, i owszem, w lasach państwowych nawet wydzierżawiać polowania na jelenie w Karpatach, a tem samem i w lasach prywatnych, które prawie zawsze graniczą z lasami państwowemi, a zwierzyna przechodzi w jedną i drugą stronę.

Zawsze jednak trzeba wiedzieć, komu się dzierżawi.

O ile wiem, tak dzielni i szlachetni myśliwi, jak hr. Tarnowski Zdzisław, hr. Zamoyscy, hr. Potoccy i wielu innych, którzy dzierżawią polowania w lasach państwowych w Karpatach, nie szczędzą trudów, zabiegów i kosztów na hodowlę i ochronę tej zwierzyny — a odstrzał u nich ogranicza się li tylko do pojedyńczych, osobliwszych, o silnych, pięknych wieńcach jeleni,—a nie ubiwszy takowych, zadawalniają się zlustrowaniem dzierżawionych rewirów.

Rząd nasz, znajdujący się w dość trudnem położeniu finansowem, dla odbudowy kraju i utrzymania aparatu administracyjnego, trudno, ażeby łożył bądź co bądź znaczne fundusze na utrzymanie odpowiedniej straży myśliwskiej i przyborów łowieckich do tępienia drapieżców — tego od Rządu nie można żądać.

Gdy tymczasem nasi magnaci, jako wielcy miłośnicy łowów, mogą sobie dla swej przyjemności i miłości do łowiectwa pozwolić i na większe wydatki.

Należałoby jednak, w porozumieniu z kierownikami odnośnych rewirów, czy to rządowych, czy też prywatnych, bezwarunkowo ograniczyć odstrzał jeleni na czas dłuższy, do minimalnej ilości, ze stanowczym zakazem odstrzału jeleni poniżej *dwunastaków*, z wyjątkiem wsteczników, o kolosalnych nieraz rozmiarach rogów, wszelka młodzież, od dziesiątaka w dół, musi być wykluczona od odstrzałów.

Również byłoby wskazanem, ażeby polowania na jelenie i w prywatnych lasach w Karpatach, jeśli właściciel dla swej własnej osoby nie rezerwuje, wydzierżawiano pojedyńczym, szlachetnym, zamożnym myśliwym, którzy by nie szczędzili ani trudu, ani funduszów na hodowlę, pielęgnowanie i szanowanie tej tak szlachetnej zwierzyny, jaką jest jeleń.

Prawie wszędzie w prywatnych lasach, na wyżynach karpackich, w wielkich majętnościach jest przyjęty zwyczaj zapraszać gości - myśliwych na rykowiska — i trafia się częstokroć, że cyfra przewyższa ilość wogóle w rejonie znajdujących się kapitalniejszych jeleni. Wówczas nietylko, że o utrzymaniu jakiegoś racjonalnego stanu lub szanowania jeleni niema mowy, — ale poprostu stan jeleni upada, a raczej niszczy się — i w dodatku rozczarowanie i niezadowolenie ze strony gości, „że tam u was nic niema" i „nic się nie ubiło"... A skąd nabrać, jak rok rocznie każdy coś chce ubić i to coś kapitalnego?

Więc, naturalnie, musi taki myśliwy narzekać i snuje fantazje o strasznych kłusownikach, bandach, etc.

Nie zaprosić jednak takiego gościa, któryby sobie życzył koniecznie polować na jelenie, lub już był kiedyś zaproszony — to obraza honoru już gotowa.

W tych sprawach powinien każdy taki gość wpierw należycie poinformować się w odpowiedniem kierownictwie rewirów, a jeśli jest szlachetnym myśliwym, to powinien na jakiś czas zrezygnować z tej przyjemności, nim stan jeleni nie poprawi się.

Na to nie potrzeba zamykać polowania na lat 10; jednakowoż na jakiś czas wziąć na wstrzymanie i wpierw dobrze rozejrzeć się, zbadać i przekonać się, czy można polować i wogóle jaki stan jeleni jest rzeczywisty, czy można go już redukować, czy nie. Wszelka bezwzględność, dążąca do tego, by biednego zwierza dla rogów zgładzić ze świata i zaspokoić swe chucie namiętne strzału i pochwalenia się zdobytemi wieńcami ze szczytów Karpat, nie doprowadzi nigdy do podniesienia zwierzostanu jeleniego, a niechybnie doprowadzi do zagłady tego szlachetnego zwierza.

Jan Marcinków.

Wetlina, dnia 10 maja 1924 r.

Wspomnienie z polowań na kaczki w lipcu.

W skwarny dzień letni szedłem przez pole, aby skontrolować przebieg prac żniwiarskich. Z zadowoleniem spoczywało me oko na łanach wysokiego zboża. Żyto już w kopkach. Jęczmień i pszenica czekają już na kosy żniwiarzy i owies w blasku słońca wydaje się żółty i dojrzały. Skierowałem me kroki w stronę bagna, które rozciąga się w odległości 400 metrów przedemną. W gęstwinie trzciny kaczki znajdują bezpieczne schronisko podczas lęgu i na granicznych polach obfity pokarm podczas lata. Wszędzie spostrzegłem przesmyki z wody w otaczający bagno jęczmień, którymi kaczki prowadziły swe młode na żer. Ku memu zdziwieniu spotkałem stadko młodych kaczek. W śmieszny sposób uciekały młódki do wody, wywracając się kilka razy, podczas gdy stara uciekała to w tę to w ową stronę, w tym celu, aby mnie sprowadzić z tropu. Prawdopodobnie zniszczyła wrona pierwszy ląg, tak, iż się z drugim spóźniła. Bacznie patrzę na jęczmień, w którym zauważyłem ciemne plamy. Podszedłem bliżej i spostrzegłem kłosy jęczmienia częściowo zdeptane, częściowo obrabowane z ziarna. Tu gospodarowały kaczki niezgorzej, jednakże złoczyńcami nie były młódki lub klapaki. Wiadomo, że kaczki rok rocznie upatrują sobie dojrzałe łany zboża na ucztę.

Środek bagna nie jest bardzo zarosły. Pióra pływające po wodzie i drogi torowane przez rzęsę zdradzały mi, iż kaczki często odwiedzały to miejsce.

W odległości kilkunastu metrów od bagna wyciąłem sobie tasakiem stanowisko w otaczających bagno gęstych olszynach i wierzbach.

Wiaczorem siadłem w towarzystwie „Kurtki" mojego gryfona do czatowni.

Cichy szept wiatru wieczornego dochodzi mego ucha. Tajemniczo szumi trzcina; Ozdobne świtezianki kołyszą się na trawie; trzcinak śpiewa wesoło, wielki bąk buczy w sąsiedniem bagnie. Wysoko w powietrzu szybuje czapla i zbliża się do mego stanowiska. Już jest mi na strzał bliska, ładunek śrótu każe jej spaść tam, gdzie może zamierzała wykonać swe złodziejskie rzemiosło.

Kurtka patrzy w stronę zachodu, jakgdyby spodziewała się ztamtąd nadciągnięcia kaczek. Ale jeszcze zawcześnie.

Powoli tonie słońce jak ogista kula w morzu błękitnego nieba. Po skwarnym dniu nastąpił chłód przyjemny. W lesie sosnowym po drugiej stronie pógruchał gołąb i kukała kukułka.

Nagle poruszył się jęczmień niedaleko przesmyku i ze zboża wysunęła się ostrożnie ostra morda lisa. Przyszedł także do bagna, aby się udelek-

tować młodą kaczką. Niedługo też potrzebował czekać. Młode kaczę zwykłą drogą chciało pójść na żer. Czerwony rabuś ani drgnie — przyłożył łeb do ziemi, nagle — sus! Ale w tym momencie i dubeltówka wypowiedziała swe bezwzględne słowo i lis w walce ze śmiercią jeszcze kilka razy kitą wodę bijąc, leżał już martwy.

Powoli i ledwo dostrzegalnie nadciąga zmrok. Nad łąkami leży biały tuman mgły. Gwiazda wieczorna ukazała się na niebie.

Kurtka nagle nastawiła uszy i równocześnie usłyszałem: fi-fi fi-fi. Błyskawicznie przeleciało stado kaczek nademną. Teraz uwaga! Na dalekim horyzoncie widzę kilka punktów, które szybko się zbliżają, Jest to stado krzyżówek w ilości 10—15 sztuk. Ustawicznie krążą nad polem, to niby zapadając na bagno, to wysoko w powietrzu latając.

Skierowały się w stronę mego stanowiska — strzelam... Pierwszy strzał trafił. Słyszałem suchy łomot i niedaleko kaczka wpadła w jęczmień. Ale i drugi strzał nie chybił — kaczka mozolnie jeszcze kilka metrów lecąc, spadła młyńcem niedaleko swej towarzyszki. Podczas, gdy ja patrzyłem bacznie na miejsce, w którem druga kaczka spadła, przyniosła mi Kurtka pierwszą w kufie. Na skinienie ręką znikła powtórnie w zbożu, aby po chwili wrócić dumnie z drugą. Zbarczyłem ją tylko i bez psa byłaby dla mnie stracona.

Nowy klucz zbliża się. Na znacznej wysokości krążą koło bagna, by się o jego bezpieczeństwie przekonać. Siedzę dobrze zakryty, kaczki więc, nie spostrzegłszy mnie, zapadły z pluskiem na wodę.

Kto nie odważy się strzelać o zmroku na ciągnące kaczki, znajdzie najlepszą sposobność do tego przy zapadnięciu ich na wodę, albowiem kaczka, powodując falowanie wody i siedząc w środku, jako ciemny punkt—tworzy dobry cel.

Tymczasem nastąpiła zupełna ciemność i strzelać mogłem dopiero wtenczas, gdy kaczki siedziały na wodzie. Nie każdy strzał trafił, z powodu niepewnego celu. Gorące są lufy dubeltówki i pełne troki plecaka.

Tu i tam zapadają kaczki i ciche kwakanie w trzcinie powiada mi, że teraz koniec ciągu. Liczę rozkład mego polowania—1 lis, 1 czapla, 12 krzyżówek i 9 cyranek. Zadowolony z wyniku — wracam do rodzinnych penatów.

Ciąg kaczek zawsze sprawia mi przyjemność i corocznie, skoro tylko dojrzewa zboże, cieszę się zawsze na te polowania. *L. Osowski.*

TYGRYS.

Tygrys jest typowym zwierzem azjatyckim i dotąd nie posiadamy najmniejszych danych o jego przekroczeniu granic tej części starego świata, aczkolwiek zamieszkuje on stale sąsiadujące z Europą puszcze Zakaukazia, nigdy jednak nie przekroczył kaukaskich rubieży. O lwie mówi nam historja, że ten król zwierząt już w czasach historycznych żył jeszcze w Europie, znany był starożytnym grekom, Herkules miał z Nemejskim lwem na Peloponezie staczać śmiertelny bój, zaś wojska Xerxesa przy przejściu Atosskiej góry srodze cierpiały od napadów tych zwierząt, a assyryjscy królowie uganiali się za nimi w swych złocistych, dwukołowych rydwanach, z oszczepem i łukiem w ręce po pustyni Małej Azji. Dziś mamy jeszcze w niewielkiej ilości te królewskie zwierzęta nad Eufratem, Tygrysem i nad zatoką perską. O ile lew jest mieszkańcem tylko ciepłych krain, tygrys przebywa tak dobrze w klimacie gorącym, jak i w chłodnej sferze; spotykamy go pod 10 st. szer. północnej, na Malajskim półwyspie, Cejlonie, jak również pod 50 st. tejże szerokości w Syberji nad Amurem w kraju ussuryjskim, w Korei i Mandżurji. Z opisów podróżnych myśliwych znamy niestety przeważnie indyjskiego tygrysa, bengalskiego v. królewskiego, któremu ci panowie w swych dziełach przyznają pierwszeństwo, jako najpiękniejszemu, a którego według zdania syberyjskich myśliwych i znawców Dalekiego Wschodu, jak p. generała Bronisława Grąbczewskiego, p. Józefa Gieysztora i innych, północny tygrys o wiele przewyższa nie tylko wzrostem, masywnością swej budowy, siłą i wytrwałością na chłody, ale nawet puszystością i pięknością swego futra. Gdy Samuel Bekker podaje nam rozmiary indyjskiego zwierza, dochodzące do 3 mtr., przy wadze 225 funt., a największa skóra zabitego bengalskiego przedstawiciela przez maharadżę Kah-Bahara posiada 3,4 m. długości, K. Hagenbeck w Hamburgu ma skórę syberyjskiego tygrysa 4 metrową, zaś amurski tygrys w jego ogrodzie zoologicznym w Hamburgu jest jednym z najwspanialszych przedstawicieli tych kotów. Wychowańcy menażerji lub ogrodów zoologicznych nie dają nam dostatecznego pojęcia o tym zwierzu wspaniałym, a zarazem strasznym, wyrosłym na swobodzie w rodzinnej dżungli lub tajdze głębokiej, gdzie w ustawicznym ruchu i pogoni za zdobyczą, w krwawych z nią walkach, muskuły jego dochodzą do pełni rozwoju i nadzwyczajnej siły, z jaką jest zdolny unosić swą ofiarę, równą mu wielkością i wagą. W porównaniu ze lwem, tygrys wydaje się nam mniej od niego wspaniałym i masywnym, przerasta go jednak długością ciała, lekkością ruchów i sprężystością a przedewszystkiem chytrością i krwiożerczością, będąc zawsze gotowym do zdradzieckiego napadu i mordu. Gdy lew staje do boju z człowiekiem, że tak się wyrażę, z odkrytą przyłbicą, tygrys unika otwartego z nim boju, stara się podstępem go podejść i napaść znienacka. Słyszeliśmy od gen. Grąbczewskiego, iż syberyjscy myśliwi, tropiąc tygrysa, bywają często zaskoczeni przez niego na tyłach swych własnych i jego śladów. W Syberji

podczas budowy kolei amurskiej robotnicy byli ustawicznie teroryzowani przez tego rabusia i rząd ówczesny był zmuszony utrzymywać na całej linji osobne oddziały strzelców dla ochrony pracujących. Oddziały te staczały nieraz krwawe walki, nie zawsze zwycięskie. Widywano tygrysa krążącego całe noce około szałasów ludzkich i czyhającego na swą ofiarę, a pochwyconą unosił lekko w daleką tajgę. Jakkolwiek zaliczamy tego zwierza do nocnych, nie mniej włóczy się on po borach w dzień biały, nie okazując strachu przed człowiekiem. Przypominam sobie illustrację w jednem z pism rosyjskich z tego czasu, przedstawiającą fotografję kozaka, rozszarpanego przez tego kota w straszliwy sposób; o podobnym wypadku mówi również gen. Grąbczewski. Szeroki, ogromny łeb, powiększony jeszcze przez sterczące uszy, wydatne bokobrody, wąsata morda o szerokiej paszczy i kłach błyszczących, długość szerokiego tułowia, a przedewszystkiem monstrualnej wielkości i siły kończyny, uzbrojone w ostre i zagięte pazury, czynią widok jego strasznym. Jest on też postrachem i biczem dla ludności i zwierząt danej okolicy. W Indjach w wielu miejscowościach, jak to było przed dwudziestu kilku latami na Malajskim półwyspie, terroryzowana ludność ustawicznie przez tygrysie napady porzuciła swe stare siedziby i przeniosła się w kraje zaludnione. Hamilton Duglas, opisując swe polowania w Indjach, wspomina o tygrysie, spotkanym podczas polowania na jelenie, który był tem samem, co i on zajęty i nie zwrócił uwagi na niego, nie przerwał swej roboty. „Zauważyłem raz—mówi on—stado drapieżnych ptaków, czas długi z wrzaskiem unoszące się nad jednem i tem samem miejscem, a gdy ostrożnie podszedłem, zauważyłem tygrysa, strzegącego leżące przed nim padło. Nie miałem chyba nigdy dogodniejszego strzału do tego rabusia“. „Podczas eksploatacji górskich lasów — mówi on dalej — usłyszałem w bliskiej dżungli straszny rechot świń, zmieszany z tygrysim rykiem. Wrzawa zbliżała się ku mnie i niebawem na odkrytej polanie ukazał się stary odyniec i atakujący go tygrys. Dzik z nastawionym, jak torpeda, spienionym ryjem do ataku, rozpaczliwie odpierał natarcie przeciwnika rozjuszonego, rzucającego się z rykiem na niego. Śmiertelna walka trwała jednak krótko: tygrys szalonym skokiem dosięgnął grzbietu wieprza i zatopił w jego czarne cielsko swe pazury i kły ostre. Czekałem tylko na ten moment z bronią u ramienia. Kula przeszyła mu łeb na wylot — wspiął się i z ogłuszającym rykiem padł na wznak, a odyniec powlókł się w gęstwinę“.

Konstanty hr. Branicki, posiadacz obszernych fortun na Ukrainie, w jednej ze swych wypraw indyjskich w 1860 latach o mało nie był rozszarpany przez ranionego tygrysa. Ocalił mu życie strzelec kozak Walorko, który w krytycznej chwili celnym strzałem powalił rozjuszonego zwierza u samych nóg hrabiego tak, iż ten musiał odskoczyć w bok, by nie być przywalonym przez padającego zwierza. Gdy po powrocie do kraju zapalczywy hrabia w gniewnem uniesieniu groził kozakowi palnięciem mu w łeb, usłyszał od niego ostrzeżenie: „niechajno graf ne zabuwa, szczo ja łuczsze graf'ckoho strilaju“. Pozwalam sobie równocześnie przytoczyć tu zabawną anegdotkę, jaka w naszej okolicy długi czas kursowała o pewnym złotym młodzieńcu, chełpiącym się swemi sukcesami myśliwskiemi „Byłem zaproszony, opowiadał on w pewnem licznem towarzystwie, przez indyjskiego maharadżę Sunderbandzkiego na łowy tygrysie. Przybyłem zawcześnie, gdy jeszcze karawana do przedsięwziętej dalekiej wyprawy nie była gotowa, więc aby nie tracić drogiego czasu, przewiesiłem mego drogiego Hollanda przez ramię i poszedłem do pobliskiej dżungli. Nie uszedłem i tysiąca kroków, gdy z wysokości traw wyskoczył wspaniały tygrys. Z zimną krwią odliczyłem mu piąte żebro i wpakowałem mu pod nie kulę — zrulował jak zając. Mej karawany nie widać, więc zawieszam mego tygrysa na drzewie i idę dalej. O sto kroków od mej zdobyczy z gęstwiny krzewu wypadł ze straszliwym rykiem jeszcze większy od pierwszego zwierz, więc w chwili, gdy zbierał się do skoku, strzeliłem mu pod piąte żebro — naturalnie padł jak piorunem rażony, a że i teraz karawana nie nadchodziła, zawieszam i tę zdobycz na sęku i ruszam dalej w głąb dżungli. Przechodząc około gęstych zarośli, posłyszałem głuchy pomruk, dobrze mi znany. a widząc skradającą się tygrysicę, wziąłem ją na cel...“ Lecz w tej chwili siedzący dotąd spokojnie w rogu kanapy suchy staruszek zrywa się nagle ze swego miejsca, podbiega do młodzieńca, bierze go trzęsącemi od gniewu rękami za ramię i rzecze: „Młodzieńcze! pozwoliłem ci spokojnie zabić dwóch najtęższych w całych Indjach tygrysów, lecz jeżeli mi z przed nosa zastrzelisz trzeciego, bez odliczenia wybiję ci piąty twój złoty ząb z bezczelnej gęby“. Starzec powrócił na swe miejsce już uspokojony, a młodzieniec znikł z towarzystwa i podobno już nigdy nie strzelał do tygrysów w salonach. O ile nam wiadomo, w Indjach w ostatnim dziesiątku lat ilość tygrysów znacznie się zmniejszyła, jedynie na Malajskim półwyspie i na wyspach Sunderbandzkich oraz w delcie Gangesu trzymają się gromadnie, jak niemniej w rozległych posiadłościach maharadży Dżejpurskiego, wywodzącego się od jakiegoś bóstwa, gdzie pod karą śmierci nie wolno zabić żadnego żyjątka, ilości tygrysów miejscowa ludność zawdzięcza tępienie dzików i antylop, wyrządzających w jej plantacjach dotkliwe spustoszenia.

Nie należę do srogich pogromców tygrysów, raz jednak, zapewne za wstawiennictwem Diany, względami której cieszyłem się długie lata, Hubert dał mi zakosztować przedsmaku tych pełnych emocji i wrażeń łowów. Było to roku pańskiego 1904. W tym czasie kolekcjonowałem faunę południowej Rosji. Departament Dóbr Państwowych w Peterburgu nadesłał mi pozwolenie polowania na drapieżne zwierzęta w rezerwowanych rewirach Kaukazu, Zakaukazia i Krymu, o czem odnośne leśnictwa były równocześnie uwiadomione i polecone im było ułatwienie mi mego zadania. Tym razem wybrałem kraj Tałyszów, na granicy Persji leżący, znany ze swych puszcz niedostępnych, dziewiczych lasów, kraj górzysty, dziki i bezludny. Głównym nadleśnym bakuńskiego okręgu, do którego tałyszski chanat należy, był gen. J. Wasilewski, z którym mnie łączyła długoletnia współpraca w „Łowcu Polskim“, a od którego oddawna miałem zaproszenie „na tygrysa“. Otrzymana w końcu grudnia 1903 r. depesza „tygrys w matni — przyjeżdżajcie“ przyśpieszyła mą wyprawę, do której wszystko było przygotowane, prócz „prze-

pustki“ od żony, która była jej przeciwną. Po przeprowadzeniu misternie dyplomacji w tym celu, trzeciego dnia świąt Bożego Narodzenia kurjerski pociąg uniósł mnie ze stacji Bałta w nieznane, dalekie światy. Z zawrotną chyżością mknęliśmy przez śnieżne stepy chersońskie, płaszczyzny ekaterynosławskie, ziemie Wojska Dońskiego i Kubania, minęliśmy terski obwód, skalisty Dagestan i pobrzeże kaspijskie i trzeciego dnia podróży nasz pociąg z szumem, hukiem i łoskotem wpadł na dworzec smrodliwego Baku, owego starego Bat-Kube (podmuchy wiatrów), smrodliwego, gdyż tu wszystko przesiąknięte odorem nafty, pokryte jej tłustym kopciem i pyłem, nawet wróble czarne od osadu i dymu. A wieczna czarna chmura, jak kir żałobny, unosi się nad „czornym gorodom“.

Dnia następnego, przy zapadającym zmroku wstąpiłem na pokład perskiego śrubowca, „Lenkorańca“, dążącego do Cureli. Długo stałem wpatrzony w piękną panoramę amfiteatralnie na wysokiem wzgórzu położonego miasta, żegnającego nas tysiącem różnobarwnych ogników z wąskich okienek tatarskich sakli i snopami świateł z morskiej latarni, na legendarnej „Dziewiczej Wieży“ umieszczonej. O 8-ej ostatnie zgasły mi z widowni światełka i ciemności egipskie otoczyły statek zewsząd. Od strony dalekiego wschodu z głuchym, złowieszczym pomrukiem nadciągały ciemne chmury, szybko zawlokły firmament czarną zasłoną, a ich deszczem brzemienne łono co chwila i coraz silniej darły oślepiające błyskawice. Burza wisiała nad nami, ciężkie grzmoty przewalały się po całem niebie, które stawało niekiedy w płomieniach. Uderzył gdzieś daleko piorun — lunął deszcz obfity. Zawył gwałtowny wicher, zmarszczył i pofałdował spokojne wody, wpadł na statek, załopotał płótnami, zaświstał w linach i wiązaniach. Na pokładzie powstał ruch gorączkowy. Kapitan z wysokiego pomostu wydawał suche, krótkie rozkazy, spełniali je z pośpiechem marynarze — zwijali żagle, rozciągali nad trumami płótna, zamykali otwory i luki szczelnie. Z komina czarne buchnęły dymy, ciężko zastękała maszyna, warknęła śruba i ze zdwojoną siłą pracować poczęła. Naciskany piętrzącemi się falami, „Lenkoraniec“ coraz gwałtowniej zataczać się począł, przerzynał swym żelaznym nosem poprzeczne fale, skrzypiał żałośnie i z boku na bok się zataczał. Rzucany jak łupina orzecha, wyskakiwał na same grzbiety spienionych bałwanów, zatrzymywał się tam na krótko, jakby strząsnąć chciał ze siebie zalewające go wody, odpocząć i nabrać siły do dalszej walki z rozszalałym żywiołem, to znów spadał w otwierającą się przed nim głębię, by za chwilę znów wyżej podskoczyć, zsunąć się jeszcze w głębszą bezdnę. Ostry świst lin i okrętowych wiązań, łopot płócien naciągniętych, brzęk łańcuchów, odgłos pomp pracujących, trzaskanie drzwi otwierających się kajut, padanie sprzętów i przedmiotów z półek, zmięszane z rykiem morza ! lamentem kobiet, płaczem dzieci, jękiem chorych, wzywających pomocy Boga i Ałłaha,—piekielny tworzyły koncert. Nad ranem burza zaczęła przycichać, statek regularniejsze przybierał ruchy, porywy wichury słabły, tylko jęki i wyrzekania w kajutach nie ustawały długo. Wyszedłem na pokład — dniało. Porwane i postrzępione wichrem chmury prześcigały się w nieładzie i biegły pośpiesznie w dal niewidzialną. Pogodny firmament błękitniał, gasły jedna za drugą blade gwiazdeczki na jego sklepieniu, wschód się zarumieniał coraz wyraźniej i czerwona tarcza słoneczna, skąpana w zielonej toni morskiej, wyjrzała na świat, zalewając go złotem światłem. Morze zadrgało miriadami światełek srebrzystych. Jak wesołe szpaki po nocnej burzy obsiądą słomianą strzechę zagrody, tak czarni persowie, znękani chorobą, oblegli galerje statku i swe czarne głowy i blade twarze przewieszali za jej poręcze i oddawali dług morzu.

Na południu zarysowały się niewyraźnie zębate łańcuchy gór Kara-Dagu z wysokiemi szczytami Kis-Jarda i Dombały. W południe przepłynęliśmy około wyspy Sary, „bażanciem Eldorado“ zwanej, i w godzinę zarzuciliśmy kotwicę na pełnem morzu naprzeciw Lenkorania, stolicy Chanatu Tałysza. Czekająca łódź przewiozła mnie na brzeg, skąd udałem się do domu pp. Wasilewskich, gdzie kilka tygodni doznawałem serdecznej gościnności, o której zawsze z wdzięcznością wspominać będę. Do przyszłych łowów uprzejmy gospodarz wszystko przygotował. 50-ciu Tałyszów i kilka wierzchowców-arabczyków czekało w Pryszybskiej puszczy naszych rozkazów (Tałysze-tatarzy irańskiego pochodzenia). Drugiego stycznia, w towarzystwie p. W. i sędziego p. Kłosowskiego, otoczeni 15 dżigitami, pod komendą Nagiego, „oczkiem nadleśnego“ zwanego, wyruszyliśmy drogą Teherańską do Pryszybu, o 75 w. od Lenkorania odległego. Nie będę męczył łaskawego czytelnika opisem tej drogi, odbytej w koszu, na długich drągach, między 4 kołami zawieszonym, po drodze nie skąpej w doły, wyboje etc., kałuże i grząskie przeprawy przez strumienie i klawiszowe mosty, gdzie zażyłem zimnej przymusowej kąpieli i zrobiłem kilka akrobatycznych koziołków i skoków cyrkowych. Nie podobna mi tylko zamilczeć o tej masie widzianego różnorodnego ptactwa, jakie tu z półświata północnego zlatuje na zimę, przydrożne poletka ryżowe, grząskie wybrzeża strumieni i jezior — każda kałuża i błoto roi się od różnych ptaków. Tu kilka kulonów, zmieszanych z dubeltami i chmarą bekasów, drepcze po miękkiem błocie — tu senne stoją czaple szare — poważnie przechadzają się purpurowe — dalej w cichym ustroniu, w cieniu wysokich czereśni, jak białe posążki gipsowe, drzemią białe czapelki, — a na piaszczystym wybrzeżu morskiem przechadzają się, w poszukiwaniu żeru, tabuny batalionów, kuliczków i wszelkiej małej pierzastej gawiedzi. Na jasnej łasze, w głąb morza wrzynającej się, suszą omokłe pióra monstrualne baby-pelikany w wiernym towarzystwie nieodłącznych kormoranów. Jak małe wysepki widnieją na morzu tabuny gęsi, bujające stada kaczek, grupy łabędzi, samotne nury i piskliwe rybitwy. Nie brak i pięknego flaminga. Wszędzie pełno życia, gwaru i wrzawy, nad którą góruje ośli ryk pelikanów, chóralnie, od czasu do czasu, zrywający się. W powietrzu ruch ustawiczny. W sprzecznych kierunkach szybuje przeróżne ptactwo, wprawiane w ruch pościgiem orła, sokoła lub raroga. Jednakże piękniejsze nad inne są ciągi pelikanów na słodkie wody. Jak olbrzymi ogon latawca, unosi się w powietrzu falująca, różowa, długa wstęga tych olbrzymich ptaków, płynących majestatycznie w równych od siebie odstępach, a jak krzyż żałobny na błękicie nieba

ciągnie ich śladem czarny kormoran. Na jednym z postojów pocztowych w Kumbaszi udało mi się zastrzelić prawie białego sokoła (falcosacer Feleggi) na innym znów tęgiego gąsiora na bajeczny dystans, dwa kormorany i błękitną sułtankę, nie brakło i chaniebnego pudła do orła, na szczęście nie zauważonego przez innych, coby na samym wstępie mogło było zachwiać mą strzelecką reputację. Zabawialiśmy się też przez całą drogę z p. Kł. strzelaniem do marnych zajączków, wyskakujących z kęp błotnistycy i kryjących się w nie zpowrotem.

Pryszyb 3.I 904. O świcie cichego poranku dosiadamy pięknych arabczyków i poprzedzani przez przewodnika Skrypnika mołokana (wysiedleńcy z Rosji 1855 roku) dążymy ku górom. Idziemy gąsiego początkowo raźnie, lecz w miarę zbliżania się ku górom, pochód zwalnia, staje się coraz trudniejszy konie robią silnie bokami, bucha z nich para, a na ciemnych twarzach tatarów wykwitły wybitne rumieńce. Około 9-ej dosięgnęliśmy wysokości tysiąca z górą metrów i wchodzimy w kraj kamienisty i dziki. Jako mieszkaniec równin stepowych nie miałem pojęcia o tych trudach i niebezpieczeństwach, jakie podróżnego w górach na każdym czekają kroku i gdzie jego zdrowie, a nie rzadko i życie, zależy od zdrowych nóg konia, jego śmiałościi rozumu. Mój piękny siwosz posiadał te wszystkie zalety i okazał się mistrzem w przesadzaniu gnijących kłód, przepełzaniu po obwisłemi gałęziami kolących krzewów, prześlizgiwaniu się pod stromemi ścianami skał i przeskakiwaniu zdradzieckich szczelin. Raptownie przecina nam drogę wprawdzie nie szeroka, lecz bezdenna przepaść, na dnie której ryczy i pieni się strumień, toczący po swem kamiennem łożysku jak bile wytoczone kule z hukiem i łoskotem, jak grzmot daleki. Siwosz chrapnął zastrzygł małemi uszkami i staje nad przepaścią. Postawił na jej krawędzi zgrabną nóżkę, a upewniwszy się o jej ostoi, podsuwa drugą, przysiada cokolwiek na zadzie i hop, jesteśmy po drugiej stronie.

(Dok. nast.). *Wł. Czerniejewski.*

Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Gdy myślą sięgniesz w odległe czasy minionej młodości, ze zdziwieniem spostrzegasz, jak często drobne i małoznaczące zdarzenia, na które w późniejszym wieku nie zwróciłoby się nawet uwagi — były powodem wielkiej radości, lub ciężkiego zmartwienia, stosownie do wyniku—pomyślnego lub nie.

Wówczas każde pudło, zwłaszcza wobec innych myśliwych, zdawało się tak bolesnem, jakby chodziło o czyn hańbiący — a znów celny strzał napełniał serce dumą; a cóż dopiero, gdy zdarzała się sposobność popisania się przed płcią piękną — a jeszcze gdy był tam ideał, do którego młodzieńcze serce pałało, jak to się wówczas wyobrażało — miłością.

Miałem i ja swój ideał, u którego nawet trudno było pozyskać dobrą w sprawach myśliwskich opinję, gdyż był w nich nad podziw kompetentym.

Najbliższym sąsiadem mego ojca był jego kolega ze szkolnej ławy i serdeczny przyjaciel, p. W.— a zdaje się, że nic tak nie utrwala przyjaźni, jak wspólność namiętności myśliwskiej — więc chociaż obaj byli słynnymi na całą okolicę myśliwymi i strzelcami, nigdy emulacja najmniejszego nieporozumienia lub zazdrości między nimi nie powodowała; ja odziedziczyłem po ojcu żyłkę myśliwską—i gdy doszedłem do wieku, w którym pozwolono mi już polować, przyjeżdżając na święta i wakacje oddawałem się temu sportowi z wielkim zapałem.

Sąsiad nasz syna nie miał, tylko córkę, która wychowywała się w domu, więc przebywając ciągle w atmosferze myśliwskiej, wsłuchiwała się nieraz w opowiadania o różnych przygodach łowieckich z zachwytem i byłaby doskonałą myśliwą, gdyby nie to, że w owch czasach sport ten uważany był dla kobiet za niestosowny. Mnie z panną Marynią od dzieciństwa wiązał stosunek szczerej przyjaźni, która z wiekiem, jak to nietylko w powieściach się zdarza, zmieniła się w głębsze uczucie, tem niebezpieczniejsze, że nie raptowne, a stopniowo się rozwijające—nie dziw więc, że bardzo mi chodziło o zyskanie pochwały z takich usteczek i zbyt wielka chęć ku temu, o mało że nie doprowadziła raz do katastrofy.

Przyjechałem na wakacje z promocją do 6-ej klasy, więc w świetnym nastroju i pewnością spędzenia wielu błogich chwil i na polowaniu i u sąsiadów;—odpocząwszy kilka dni po trudach egzaminowych, wybraliśmy się z ojcem w odwiedziny do p. W.

Serdeczne przyjęcie, piękne oczy... ach, szczęśliwe to były doprawdy chwile! Ponieważ był to czas żniw, p. W. zaproponował memu ojcu przejażdżkę w pole, — a mnie, ponieważ, jak się wyraził" „żniwa skubenta nie interesują"—wziąć jego strzelbę i „Mazura" i przejść się na bliziutką rudę sprobować, czy dubelty młode już są dobrze lotne,—„o ile nie będziesz wolał chwalić się przed Marynią szkolnemi sukcesami".

Pojechali. Wstyd-by mi było dla bekasa opuścić miłe sam na sam, gdyż pani W. na parę dni wyjechała, lecz Marynia znając mą żyłkę myśliwską, rzekła: „będziemy mieli dość czasu nagawędzić się,— lecz ja muszę do kuchni przygotować ciastka do herbaty, a ty Nemodzie (byliśmy na ty) idź sprobować szczęścia, — a za każdego zabitego dubelta dostaniesz ciastko takie słodkie... słodkie... a za każde pudło — zrobię ci minkę taką kwaśną... kwaśną...! A pamiętaj tylko, że to blizko i będę strzały liczyć, więc nie probuj mię oszukać—rzekła odchodząc. Można więc sobie wyobrazić, z jak mocnem postanowieniem nie gorączkować się, co miałem we zwyczaju, a dobrze strzelać, ruszyłem z ochoczo biegnącym przedemną „Mazurem"; ale o tym jako

odgrywającym ważną rolę w mej przygodzie, muszę słów kilka powiedzieć. Był to wyżeł dziś już nie egzystującej polskiej rasy, zalety którego znane były w całej okolicy; obok znakomitego węchu bajeczna wprost nieraz zmyślność—na rozkaz pana nprz. wracał kawał drogi do domu i przynosił zapomniane przedmioty:—rękawiczki, fajeczkę lub t. p.; na polowaniu w lesie, p. W. wygodnie rozciągał się na po lance, a Mazurowi kazał szukać; Mazur ruszał i po upływie pewnego czasu wysuwał się z krzaków na polankę i gdy pan wstawał, zawracał i powoli wiódł go, oglądając się od czasu do czasu, aż doszedłszy do pewnego miejsca, wystawiał stadko jarząbków lub młodych cietrzewi; ponieważ p. W. prawie bez pudła strzelał, nic więc dziwnego, że idąc z Mazurem bałem się, iż w razie pudłowania, mądre to psisko gotowe mię w jakiś sposób przed panią mych myśli oskarżyć. Wszedłszy na rudę, po kilku minutach Mazur zaczął ściągać i wreszcie zamarł w pięknej pozie, z podgiętą przednią łapą — tylko sam koniuszek cienkiego ogona drgał mu nerwowo, jak-by w takt do mego gwałtownego bicia serca; Pil! i z charakterystycznem chrząkaniem zerwał się dubelt i przeprowadzony memi dwoma błyskawicznemi pudłami poleciał szczęśliwie. Mazur jak-by zdziwiony popatrzał na mnie, lecz poszedł znów szukać; po pewnym czasie znów ta sama historja: stójka, dubelt i spudłowany dublet; teraz już Mazur zrobił gniewną minę, spuścił ogon i spojrzał ku domowi — lecz gdy zacząłem go głaskać, zachęcać, obiecywać poprawę, — jakby zrozumiał i chciał powiedzieć „a no zobaczymy"—strzepnął uszami i ruszył znów na poszukiwanie,—lecz gdy po raz trzeci powtórzyła się znów ta sama historja, — nawet nie raczył spojrzeć na mnie i prosto pobiegł do domu; dognałem go jednak na brzegu, lecz na moje prośby pozostał niewzruszony; wziąłem go więc za obrożę i poprowadziłem choć się opierał, na drugą stronę rudy z tą myślą, że gdy go puszczę, może natknie się uciekając na jaką zwierzynę, co może da mi możność celnym strzałem poprawić swą reputację; i rzeczywiście, gdy puszczony ruszył wprost ku domowi, nagle coś zwietrzył, gdyż zapominając o postanowieniu nie zadawać się ze mną, zmienił kierunek i zaczął ściągać do kilku kęp sitowia, rosnących na brzegu rzeczułki i wreszcie stanął. Podszedłem z zamiarem zachowania zimnej krwi, — lecz gdy zerwała się ciężko z łoskotem i kwakaniem ogromna krzyżówka, postanowienie znikło i po dwóch bajecznych pudłach stałem, spoglądając z rozpaczą to na niknącą w oddali kaczkę, to na cwałującego do domu Mazura.

Można sobie wyobrazić, jak czarne myśli opanowały mię gdym wracał; na razie chciałem pocichu wejść do pokoju p. W. — zostawić dubeltówkę i ładownicę i per pedes apostolorum drapnąć do domu; lecz, zastanowiwszy się, zmieniłem ten projekt, widząc w tem zbyt wielkie dziecińdstwo; — robiąc więc dobrą minę do złośliwej gry, poszedłem wprost do ganku – lecz zobaczywszy tam leżącego Mazura, który na mój widok, jakby ze wzgardą, odwrócił głowę, a we drzwiach stojącą i śmiejącą się do rozpuku Marynię — nie wiem co mi do łba strzeliło — dość, że zamiast samemu zacząć się śmiać ze swej przygody, rzekłem z powagą: „ależ to szkaradne psisko, ten Mazur — widać przez zimę tak się rozleniwił, że nie chciał nawet wejść na rudę, pomimo, że go wszelkiemi sposobami zapraszałem—myślałem wreszcie, że go strzały zachęcą — lecz moje cztery strzały na wiwat wywarły ten skutek, że zemknął do domu".

Panna Marynia przestała się śmiać i spoważniała. „Że najlepszy myśliwy miewa swe feralne dnie i pudłuje — to nie jest występkiem i każdemu zdarzyć się może, — ale żeby z tak błahego powodu brzydko rozmijać się z prawdą i chcąc siebie usprawiedliwić, oczerniać poczciwego Mazura, który już nie jednemu *fuszerowi* takiego figla spłatał — tegom się po panu (przeszła na „pan") nie spodziewała i dodać muszę, że chociaż nie jestem szóstoklaśnikiem, lecz umiem lepiej rachować — gdyż strzałów było ośm, nie cztery; wstyd mi za pana!

Łzy zakręciły mi się w oczach — i nie wiedząc, jak wybrnąć z tej sytuacji, pogorszyłem ją jeszcze, gdyż, skłoniwszy się niezręcznie, poszedłem do bramy wyjazdowej. Będąc w połowie tej drogi, usłyszałem na szczęście słodko rozkazujący głosik: „proszę wrócić natychmiast!" — a gdy podszedłem: „ładnie! zamiast okazać skruchę — jakaś bez racji obraza i niegrzeczne odejście do domu! A co by z tego wyszło, gdybym ja odeszła w przeciwną stronę? Przez marne pudło zerwać długoletni stosunek i zrobić przykrość rodzicom—no i...", nie dokończyła już przez łzy.

Można sobie wyobrazić, jak przepraszałem, błagałem o przebaczenie i obiecywałem poprawę — dość, że, gdy ojcowie wrócili z pola, zastali nas wraz z Mazurem w najlepszej komitywie — a gdy z werwą już zacząłem opowiadać o swej przygodzie — śmiechu z młodego myśliwego i pochwał nad mądrością Mazura było bez końca.

I ciastek zjadłem ośm dla osłodzenia każdego pudła, gdyż taka niby była umowa — i po herbacie poszliśmy z Marynią do ogrodu na maliny, dzieląc się każdą po połowie — i wesoło nam bardzo było, weselej, niż zwykle, gdyż taka pogoda po burzy zawsze wydaje się najpiękniejszą.

Ach, te miłe wspomnienia błogich chwil w młodości! Jak one rozjaśniają szare dni na jesieni życia!

A chociaż i teraz z przyjemnością wyrusza się na polowanie — lecz ten zapał, te uniesienia, tylko we wspomnieniach już być mogą.

„Swięć się, święć się, wieku młody"! „śnie na kwiatach, śnie mój złoty!..."

Antoni Terpiłowski.



Myśliwski Konkurs Fotograficzny.

Redakcja „Przeglądu Myśliwskiego i Łow. Polskiego” ogłasza niniejszym konkurs na pięć zdjęć fotograficznych myśliwskich:

1) Scena myśliwska z polowania;

2) Fotografje żywych zwierząt łownych;

3) Pies myśliwski;

4) Piękny pokot (rozkład);

5) Trofea myśliwskie.

Ostateczny termin nadsyłania fotografji upływa z dniem 1 października b. r.

Fotografje, zaopatrzone w godła, należy przesyłać na ręce redaktora naczelnego naszego pisma, p. Juljana Ejsmonda, Warszawa, Plac Trzech Krzyży 12, m. 3a. Przy fotografjach należy dołączyć zapieczętowaną kopertę z nazwiskiem nadsyłającego.

Fotografje nagrodzone reprodukowane będą w ozdobnym numerze świątecznym, który ukaże się w dniu św. Huberta (4 listopada). Fotografje nie nagrodzone, lecz wyróżnione umieszczane będą w następnych numerach „Przeglądu Myśliwskiego“.

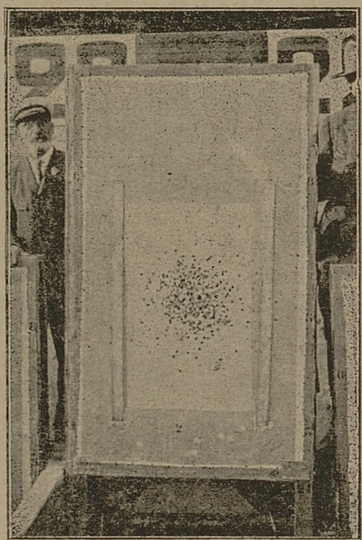
Nagrody — w postaci cennych książek myśliwskich, których wykaz podamy w następnym numerze.

Jury — Komitet Redakcyjny „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego“.

O udziale polskich zawodników w strzelaniu na Igrzyskach VIII Olimpjady.

Wyniki, osiągnięte przez polski zespół strzeleck na XIX międzynarodowych zawodach z pistoletu, na VIII międzynarodowych zawodach z broni wojskowej i w strzelaniu olimpijskiem, potwierdziły przypuszczenia, jakie snułem o szansach naszych zawodników na szpaltach N-ru 11 „Przeglądu Myśl. i Łow. Polsk.“.

Przeciętnie brak nam było $^1/_3$ do sumy punktów, osiągniętych przez ogół strzelców zagranicznych,



Tył tarczy szwajcarskiej.

zaopatrzonych w broń precyzyjną i mających możność odbywania ćwiczeń w strzelaniu na odległość 400, 600 i 800 metrów.

Aż nazbyt szczupły liczebnie, bo złożony tylko z 7-iu zawodników, zaopatrzony w broń wojskową typu Mausera, stanął nasz zespół strzelecki poraz pierwszy na arenie międzynarodowej, akurat w momencie, gdy do konkursów poza mistrzami mistrzów, Ameryką i Szwajcarją, zgłosiły się 23 państwa bądź dla wykazania żywotności sportu strzeleckiego u siebie, bądź też ze szczerej sympatji dla gospodarzy Igrzysk VIII Olimpiady. Na poprzednich dorocznych międzynarodowych zawodach strzeleckich frekwencja ograniczała się przeciętnie od 5 do 10 państw.

Udział polskich zawodników w obecnych zawodach posiadał przeto znaczenie znacznie większe od pierwszego udziału w Lyonie w r. 1921, w czasie którego strzelcy polscy poprzestać musieli na strzelaniu indywidualnem, i jest to sukces organizacyjny, dający pod względem propagandowym duże korzyści.

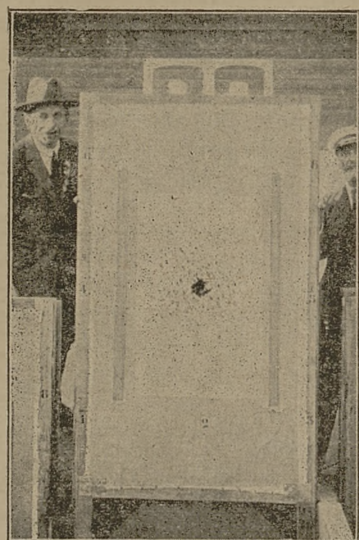
Drugim plusem o charakterze raczej wewnętrznym była wielka chęć nauczenia się czegoś od strzelców zagranicznych, zaobserwowania ich techniki strzelania i nabycia wprawy strzeleckiej. Ta chęć właśnie spowodowała, że nawet gdy nasz zespół w XIX międzynarod. zawodach z pistoletów osiągać począł wyniki niedostateczne z powodu ibraku broni konkursowej, gdy życzliwi nam francuz radzili, abyśmy się z konkursu wycofali, — polscy zawodnicy postanowili mimo to strzelać do końca.

W ogólnej klasyfikacji Polska otrzymała miejsce trzynaste, t. j. ostatnie, ale mieliśmy tę satysfakcję, że trzy państwa wycofały się podczas strzelania (Grecja, Rumunja i Monaco), a kilka zupełnie nie stawało.

W rezultacie tego strzelania mamy pełną skalę porównawczą wyników poszczególnych państw i możemy dokładnie ocenić nasze braki i nasze zalety, nie mówiąc już o sukcesie moralnym z racji naszego wytrwania do końca na zajętem stanowisku. Mistrzem świata został szwajcar dr. Schnyder, mając 531 punktów na możliwych 600.

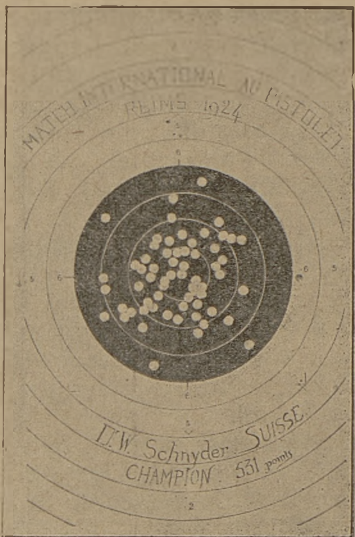
Według narodowości wyniki były następujące: Szwajcarja 2572, Francja 2561, Danja 2540, Ameryka 2503, Hiszpanja 2424, Belgja 2421, Argentyna 2420, Włochy 2418, Portugalja 2412, Finlandja 2327, Czechosłowacja 2302, Holandja 2109 i Polska 1576.

Powyższe wyniki kazały nam podzielić zespoły strzeleckie na te, które mają broń dobrą i świetnych strzelców i te, które mimo dobrej broni nie rozporządzały doświadczonymi zawodnikami. Do tej właśnie grupy należały: Czechosłowacja, Grecja, Rumunja i Monaco. Przekonać się można było o słuszności tego sądu przy następnej kategorji strzelania— w VIII międzynarod. zawodach z broni typu wojskowego (broń francuska). Dano wszystkim zawodnikom broń jednakową i kazano im zdawać egzamin dojrzałości strzeleckiej. Mistrzem świata został argentyńczyk, p. Rico, osiągając 492 punkty na możliwych



Tył tarczy, do której strzelał zespół amerykański.

600. Zawodnicy polscy nie przekroczyli swej normy, mając 395—311 punktów, choć rezultaty te są wyższe od osiągniętych na I-ch narod. zaw. strzeleckich we Lwowie. Mniemanie, że strzelcy zagraniczni wyspecjalizowali się tylko w strzelaniu z broni konkursowej, prysło. Zobaczyliśmy ponadto dążność do technicznego udoskonalenia broni wojskowej u francuzów, którzy celownik do Lebella uczynili bardziej



Tarcza do której strzelał z pistoletu szampion szwajcarski Sznyder.

czułym, wprowadzając śrubki mikrometryczne, pozwalające na dowolne przesuwanie w kierunku poziomym i pionowym.

Po tych dwóch kategorjach strzelania mogliśmy zgóry już wyliczyć domniemanych zwycięzców strzelania olimpijskiego. Co do siebie, drżeliśmy o pogodę, bo lada silniejszy wiatr mógł czynić wielkie niespodzianki z lotem kul mauserowskich, kierując je do sąsiednich tarcz. Nic dziwnego, początkowa szybkość naszego ładunku wynosiła 800 mtr., podczas gdy amerykańskiego dochodziła do 1400 mtr.

Pogoda na szczęście była cudowna. Kule nasze okazały się wyśmienitemi tak co do swego kształtu, jak i ładunku prochu. W ciągu trzech dni ciężkiej, w pocie czoła, pracy stanęliśmy jako 14, wzgl. 15 na dwadzieścia zgłoszonych państw, przy 3 ch państwach wycofanych. Pobiliśmy holendrów z bronią precyzyjną i portugalczyków, a na 800 metrów — czechów.

Zwycięską grupą olimpijską zostali, jak było do przewidzenia, amerykanie (a wśród nich Fisher), osiągając 676 punktów na możliwych 750. Drugie miejsce zajęła Francja, trzecie Haiti i dopiero czwarte — Szwajcarja. Dla szwajcarów jest to duża porażka. Polska — 476 punktów, Holandja — 466 i Portugalja — 425.

Nasi zawodnicy wyszli z tych zawodów z honorem i wykazali, że pomimo braku odpowiedniej broni są dobrymi strzelcami. Ostatnią olimpijską kategorją strzelania było strzelanie z pistoletów do sześciu figur, widocznych dla strzelca w ciągu 10 sekund. Strzelcy nasi, choć polacy, zmądrzeli przed... szkodą i w ostatniej chwili, tuż przed temi zawodami kupili pistolet Colta od jednego z zawodników amerykańskich. Na skutek nie trzeba było długo czekać: na maximum 18 punktów por. Borzemski robi 17, pułk. Marjański 16, por. Kowalewski 16 i kapitan Gosiewicz — 12. I gdyby nie zacięcie się pistoletu, zawodnicy nasi stanęliby wśród mistrzów. Na 16 państw, biorących udział, zajęliśmy miejsce piąte, sądząc według wyników grupowych, 4 państwa wycofały się.

W ten sposób skończyła się lekcja, udzielona nam i do nas podobnym przez państwa, przodujące w sporcie strzeleckim. Nie wątpię, że w niedalekiej przyszłości, początkowo na gruncie rodzimym, a następnie na forum międzynarodowem polscy strzelcy pokażą, czego się na Igrzyskach VIII Olimpiady nauczyli.

K. Kierzkowski.

RYBOŁÓWSTWO.

Reglamentacja rybołówstwa i państwowe zarybianie.

(*Dokończenie*).

Zatrzymałem się nieco dłużej na tych kwestjach gdyż, pomimo świetnej charakterystyki natury gospodarstwa rybnego na wodach otwartych, zawartej w broszurze Dr. Staffa: „Zadania i organizacja rybactwa w Polsce“ wydanej przez C. T. R. w 1918 r. spotkałem się w kraju z przerażającą poprostu ignorancją w tym zakresie. Wszystko co powiedziałem o reglamentacji nie odnosi się do gospodarstw stawowych, ale trzeba sobie uprzytomnić, że produkcja tych gospodarstw wynosi ledwo 30% ogólnej produkcji obecnej, a wątpliwem jest, czy przy uregulowaniu stosunków rybackich procent ten prędko się podniesie, gdyż zwiększenie przestrzeni gospodarstw stawowych nie da się uskutecznić tak prędko, jak uregulowanie stosunków w rybołóstwie rzeczno-jeziorowem i morskiem.

Muszę się zastrzec, że nie jest moim zamiarem bronić stanowiska, jakoby rządowa organizacja rybacka była panaceą w tej ciężkiej chorobie, którą rybactwo nasze jest objęte. Tylko biorę rzeczy realnie: czynnikami konstytującemi nasze życie gospodarcze są: inicjatywa, ogólny samorząd lokalny, samorząd gospodarczy i Rząd centralny; kwestje tego rodzaju, jak potrzeba rybactwa na wodach otwartych nie dadzą się załatwić w drodze inicjatywy prywatnej i są wykluczone z zakresu ogólnego samorządu lokalnego; kwestje te musiałyby

z natury rzeczy należeć do samorządu gospodarczego, który na większej połaci kraju wogóle nie jest zorganizowany, a tam, gdzie jest zorganizowany — nie obejmuje najszerszego grona uprawnionych do rybołówstwa rybaków rzecznych, jeziorowych i morskich. Pozostaje z konieczności Rząd, który jednak w myśl zasad konstytucji powinien dążyć do tego, żeby, pozostawiając sobie kontrolę w wykonaniu i w układaniu planu, mógł przekazać stopniowo samo wykonanie opieki nad rybactwem samorządowi gospodarczemu który odpowiednio ukształtuje się w przyszłości. Być może jestem pesymistą, lecz sądzę, że to nastąpi jeszcze nie prędko.

W każdym razie niewątpliwem jest: 1) że dzisiaj samorząd gospodarczy albo nie istnieje wcale, albo nie jest odpowiednio do potrzeb rybactwa ukonstytuowany, 2) że Rząd zawsze będzie ponosił odpowiedzialność za ogólny kierunek prac samorządu w tym zakresie i będzie powołanym do kontroli i inicjatywy, 3) że Rząd zawsze będzie ponosił odpowiedzialność za ustawy, któremi będzie się regulowało życie gospodarcze rybactwa i musi być dokładnie poinformowany o stanie i potrzebach tej dziedziny.

W zakresie uregulowania stosunków rybackich na ziemiach polskich, drogą ustaw i przepisów policyjnych, na pierwszym planie należy postawić uporządkowanie stosunków prawnych na ziemiach b. zaboru rosyjskiego, gdzie dotąd istnieje dzikie rybołówstwo, t. j. wolny połów ryb, czyli uprawnione rabunkowe rybołówstwo, pozatem są najrozmaitsze serwituty i służebności, nieobjęte ustawą o likwidacji serwitutów. Na konieczność uregulowania tych stosunków i na poważne znaczenie tego uregulowania, nawet dla gospodarstw stawowych, wskazała ankieta, urządzona przez Wydział Rybacki C. T. R., jeszcze w roku 1911. Dzisiaj stan w niczem się nie zmienił i nic nie zaszło, coby stosunki, wówczas niezdrowe — miało polepszyć. Jedynie drogą dokładnych studjów nad zebranym ze wszystkich stron materjałem rzeczowym można byłoby przejść do jakichkolwiek wniosków: pracę tę zapoczątkowano, lecz nie sądzę, żeby można ją było przyspieszyć. Lepiej jeszcze rok, a może dwa zaczekać, niż robić pospieszne doświadczenia ustawodawcze.

Obok tego należy myśleć o ujednostajnieniu stosunków prywatnych, co do władania i użytkowania prawa rybołówstwa we wszystkich trzech dzielnicach. Jakiego rodzaju to jest zagadnienie, Panowie zrozumieją, gdy zaznaczę, że obecnie panujący stan dzikiego rybołówstwa w b. zaborze rosyjskim — panował uprzednio we wszystkich trzech dzielnicach, lecz w b. zaborze pruskim został uregulowany ustawą z roku 1874, którą w wyniku rozwoju stosunków rybackich zastąpiono przez nową ustawę w roku 1916. Ustawa ta reguluje dziś stosunki prawne w sposób odmienny, niż uregulowała podobne stosunki w Małopolsce obowiązująca tam ustawa z roku 1887. Stan prawny w Małopolsce jest znacznym postępem w porównaniu ze stanem w b. zaborze rosyjskim, lecz pozostawia dużo do życzenia w porównaniu ze stanem panującym w trzech województwach zachodnich. Zrozumiałą jest rzeczą, że do zniwelowania tych stosunków może prowadzić jedynie dłuższa droga ewolucji, wymagająca ze strony władz wytknięcia zawczasu planu i umiejętnego ukształtowania stosunków. Proponowany przez niektórych radykalny środek upaństwowienia wód nie uważam za dobry, gdyż raczej władza potrafi zmusić czy zachęcić innych do zagospodarowania, niż sama da z tem radę: dotychczasowe wyniki gospodarki na wodach państwowych nie powinny nikogo do takiego załatwienia sprawy zachęcić. Zresztą wobec stanu Skarbu Państwa wykup wód według słusznych norm jest wykluczonym.

Drugą stosownie do znaczenia kwestją, lecz bezwarunkowo bardziej pilną niż poprzednia, jest ustanowienie w b. zaborze rosyjskim norm prawnych, dających podstawę do zarządzeń ochronnych, do wprowadzenia rejestracji rybaków, wreszcie umożliwiających zwalczanie chorób ryb. Sprawa ta jest w toku i możliwe, że da się połączyć z kwestją ujednostajnienia ustawodawstwą rybackiego w zakresie ochrony rybostanu we wszystkich trzech zaborach.

Trzecią kwestją jest wprowadzenie dla b. zaboru rosyjskiego i następnie ujednostajnienie na wszystkich ziemiach norm ustalających przymus gospodarczy.

Czyli zamierzona praca ustawodawcza polega na przygotowaniu serji ustaw, które będą wprowadzane stopniowo zależnie od ich pilności. Nie mówiąc o zmianach i dostosowaniach obecnie obowiązujących ustaw w 2 dzielnicach, sądzę, że pierwsza wpłynie do Sejmu ogólna ustawa „o ochronie rybostanu“, następnie ustawa „o ochronie rybołówstwa na ziemiach b. zaboru rosyjskiego“. potem ogólna ustawa „o przymusie gospodarczym i zarybianiu“, dopiero później ogólna ustawa „o prawie rybołówstwa“.

Co się tyczy państwowego zarybiania, stanowiącego jakby uzupełnienie działalności Rządu w zakresie uregulowania stosunków rybackich, nie będę jej poruszał szerzej, jakkolwiek jest wielce interesującą.

Nadmienię jedynie, że obecnie rozpoczęto akcję w zakresie zarybiania wód łososiem i sieją. Również organizuje się akcja dostarczania narybku węgorza z Anglji i pstrąga tęczowego z Ameryki, w której Rząd występuje w roli pośrednika.

Wątpię czy ktoś mógłby zakwestjonować celowość zarybiania wód łososiem: mając jednak to na względzie przytoczę zestawienie statystyczne, na podstawie danych amerykańskich. Otóż tam wypuszczono narybku łososia:

w czasie	1875—1890	58	milj. sztuk
„	1890—1905	1,210	„ „
„	1905—1920	7,000	„ „

w czasie		w milj. funt.
1875 – 1890	produkcja konserwów łos. wynosiła	625
1890—1905	„ „ „ „	1,975
1905—1920	„ „ „ „	4,610

Może to być rewelacją dla tych, którzy są pewni nieuniknionego zaniku łososia przy uprzemysłowieniu kraju. Z podanych cyfr wynika, że każde 8 sztuk narybku wypuszczonego w ciągu ostatnich 15 lat odpowiada jednemu klgr. przyrostu produkcji konserw łososia. Interesujących się tem odsyłam do obszernej monografji o łososiu, która wyszła obecnie w 3 wydaniu „Pacific salmon fisheries, by John N. Cobbs E. Washington 1921“.

Nad tem, że nikt oprócz Państwa Polskiego nie może utrzymywać większej wylęgarni łososia nie będę się rozwodził, gdyż wszyscy wiedzą, że tarło łososia odbywa się w Dunajcu a największe, bo przemysłowe połowy odbywają się na morzu.

Józef Borowik.

Przemysł rakowy w woj. Białostockiem.

Raki znajdują się nieomal w 30% jezior i rzek województwa Białostockiego tak w wodach państwowych, publicznych, jak również i prywatnych, z tą jednak różnicą, że w wodach dotkniętych klęską „*dżumy*" jest ich bardzo niewiele i rozmnażają się nielicznie.

Epidemji raków od 1913 r., oprócz państwowego jeziora „Długiego" Starostwa Augustowskiego w r. 1921, państwowych jezior „Białogóry, Sumowo i Dzimitrowo" i prywatnego „Dunajca", Starostwa Sejneńskiego w r. 1918-ym, nie zauważono. Po katastrofie, spowodowanej dżumą rakową, w latach 1903—1905 w Środkowej Europie, raki w jeziorze Wigrach, gdzie ich uprzednio poławiano b. dużo, wyginęły, a w roku minionym ponownie pokazały się w okolicy „Cimochowizny", lecz w bardzo minimalnej ilości.

Rejon ważniejszy połowu raków stanowią państwowe i prywatne jeziora Okręgu Suwalskiego i rzeki z okolic Starostwa Grodzieńskiego i Lidzkiego, a mianowicie: *Starostwo Suwalskie — jeziora państwowe:* Selment Duży, Selment Mały, Kupowo, Żubrowo, Białe gminy, Filipowo, Czostków, Ślepe, Przestajne, Hańcza, Jegliniec, *jeziora prywatne*: Okmin, Garbaś, Rospuda; *Starostwo Sejneńskie — jeziora państwowe:* Długie i Galaduś, *prywatne*: Klejwy, Gremzdy i Berzniki; *Starostwo Augustowskie — państwowe*: Serwy i Blizna, *prywatne*: Reszki, Rajgrodzkie, Kruszewo.

Dawna poważniejsza firma eksportu raków zagranicę, jaką byli bracia „Szerman" w Suwałkach, swój interes handlu rakami w 1922 r. zlikwidowała. Firma „Micha" w dalszym ciągu prowadzi handel rakami w Berlinie, tworzy ona spółkę, do której należy kilkanaście osób — członkowie tej firmy prowadzą pod swoim adresem korespondencję z agentami w Polsce, zaofiarowując różne ceny, aby w ten sposób wytworzyć pozorną konkurencję.

Obecnie eksport raków z Suwalszczyzny zagranicę prowadzi na wyższą skalę Suwalska S-ka Rybacka, z połowów na jeziorach dzierżawionych i ze skupu raków od dzierżawcy państwowych jezior p. Kozakiewicza i od agentów z okolic Grodna i Lidy.

Suwalska S-ka Rybacka złowiła na państwowych jaziorach raków w 1923 r.	4217	kop
Augustowska S-ka Rybacka złowiła na państwowych jeziorach raków w 1923 r. . . .	115½	„
Kozakiewicz, dzierżawca jezior państwowych Sejneńskich .	424	„
Razem . .	4756½	kop

Rozmiar połowu w stosunku miesięcznym wynosi:

Suwalskiej S-ki Rybackiej 4217 : 5 (1.V—1.X).	843,4	kop
Augustowskiej S-ki Rybackiej 115½ (maj)	115½	„
Kozakiewicz z Sejneńskich jezior 424 : 4 (1.VI—1.X)	106	„
Suwalska S-ka Rybacka kupiła raków z okolicy Grodna i Lidy.	780	kop
Z jezior państwowych Starostw:		
Suwalskiego	1132	„
Sejneńskiego	220	„
i Kozakiewicza z jezior państwowych .	428	„
Razem . .	2556	kop

Rozmiar eksportu raków zagranicę do Niemiec przez komory celne

w Raczkach wynosi brutto	30889 kgr.	netto 16333 kgr.
w Grajewie „	„ 40587 „	nie notowano
Razem . .	71476 kgr.	

Podział raków na gatunki handlowe:

Raki dzielą się na 3 gatunki:

odbór .	od 15 — 18	ctm. długości sztuk
średnica	„ 12 — 15	„ „ „
drobne .	„ 8—10—12	„ „ „

Ceny kupna w maju 1923 r. wahały się za kopę od 8.000 — 30 000 mk.

Ceny sprzedaży w maju 1923 r. w Warszawie wahały się za kopę 16.000 — 450.000 mk., w październiku, listopadzie i grudniu i z magazynów wodnych 500.000 — 750.000 mk.

Ceny kupna zagranicą wahały się za kopę z opakowaniem franko Berlin — dworzec wschodni:

1923 r.	
maj . . .	40.000 mk.
czerwiec .	200.000 „
lipiec . .	200.000 „
sierpień .	350.000 „
wrzesień .	800.000 „
październik	1.200.000 „
listopad .	1.800.000 „
grudzień .	2.000.000 „

W końcu roku Niemcy płacili Suwalskiej S-ce Rybackiej za kopę raków *odboru* 7 fr. fran., *średnicy* 4—5 fr. fran., *drobnych* 2—3 fr. fran.

Cła na raki nie było.

Ceny sprzedaży raków zagranicą w Niemczech za kopę wahały się od

odbór: 9 — 12
średnie: 7 — 9
drobne: 4 — 6

Jakie ceny uzyskiwali za raki przesłane z Berlina do Paryża — niewiadomo.

Raki wysyłane w październiku, listopadzie i grudniu z magazynu były karmione w skrzyniach i lepszego asortymentu wagą od 2½ — 3½ kgr. kopa, raki zaś z miesięcy letnich nie przekraczają wagi 2 kgr. kopa, długości od 9 — 10 — 11 ctm. sztuka. Z rynków krajowych posiadamy tylko jeden rynek warszawski, firma „Symańskiego", który to stosunkowo bardzo mały handel prowadzi, nieprzekraczając paruset kop tygodniowo latem. Rynek warszawski aprowizowany jest przeważnie towarem, pochodzącym z rzek i jezior, położonych w bliskości Warszawy; z dalekich okolic w bardzo małej ilości towar jest dostarczany.

Punkty zbytu zagranicą w Niemczech znane są następujące: Fabryka konserw „Tryumf“ w Berlinie. „Boczwina“ w Margrabowie i „Micha“ w Berlinie, ta ostatnia znacznie jest zredukowana wobec małej podaży towaru — tranzakcje swe przeprowadza zaraz po przybyciu towaru na dworzec wschodni w Berlinie. Po otrzymaniu towaru, poszczególni wspólnicy-członkowie firmy „Micha“, przybywają na dworzec i zabierają raki w opakowaniu procentowo.

Co zaś tyczy się transportu i opakowania, to ta sprawa jest bardzo skomplikowaną i trudną do przeprowadzenia, gdyż rak, aczkolwiek jest bardzo wytrzymałym i długo może bez wody wytrwać przy życiu, jest nader wrażliwym na zmiany atmosferyczne oraz nie wytrzymuje wstrząśnień, spowodowanych podczas transportu i opakowania.

Transport nazywa się udatnym, jeżeli upadek nie przekracza 15 — 20%, a często zdarza się, że upadek sięga 40—50%, a nawet i 75% wysłanego towaru. Transport raków na berliński rynek zbytu odbywa się drogą następującą: końmi odstawia się raki już opakowane w kobiałkach (pudełkach) do granicy niemieckiej w Grajewie i Lipówce, 21 kilometrów szosą do Suwałk, a tam w pasie neutralnym przeładowywa się na niemiecką podwodę, która już dostarcza do stacji kolejowej Margrabowa; po naładowaniu towaru do wagonu, koleją idą do stacji Justerburg, w Justerburgu przeładowywane są na kurjerski pociąg, który dostarcza je do Berlina na dworzec wschodni. Większa część raków, po wypoczynku w Berlinie i podkarmieniu, idzie na rynek paryski, a reszta sprzedana na miejscu. Taryfa kolejowa w Niemczech w r. 1923 była bardzo niska; za przewóz raków z Suwalszczyzny, w drugiej połowie 1923 r., opłacały firmy odbiorcze.

Za 100 kgr. raków opłata kolejowa wynosiła około 80 marek zł., a przejazd koleją jednej osoby z Margrabowa do Berlina i z powrotem — niespełna 1½ dolara, gdy obecnie kosztuje bilet kilkanaście dolarów.

Suwalska S-ka Rybacka, będąc dokładnie poinformowaną o wyborze najkorzystniejszego rynku zbytu raków, starała się sprzedać swój towar na rynek paryski via Berlin, lecz, wobec nieporozumień politycznych władz niemieckich z francuskiemi, do żadnego rezultatu nie doszła, przeto zrobiła próbę wysłania towaru, w ilości kilkunastu kop, drogą powietrzną z Warszawy. Próba wypadła pomyślnie, ani jedna sztuka nie zmarnowała się. Niska temperatura powietrzna w górze, widocznie, podczas upałów letnich, dodatnio wpływa na stan zdrowotny raków. Pomimo, że koszt transportu kalkulował się o wiele taniej, niż drogą lądową, biorąc pod uwagę zmniejszenie się strat i upadku, to jednak ekspedycji na większą skalę dokonać nie można było, gdyż S-ka nie doszła do porozumienia z pilotem.

J. Mackiewicz.
Inspektor Rybactwa.

Sprawy bieżące.

Arystokracja a łowiectwo.

W jednem z pism prowincjonalnych z powodu wyprawy afrykańskiej hr. Potockiego pojawił się tendencyjny i wysoce napastliwy artykuł niepotrzebnie jątrzący i niesprawiedliwie piętnujący arystokrację, która poluje. Artykuł ów odmawia arystokracji wszelkich zasług i krytykuje jej łowieckie poczynania jako szkodliwe dla kraju zabawy, nie przynoszące żadnego pożytku, godne potępienia ze wszech miar.

Arystokracja nasza od dawnych czasów poczynając położyła na polu prawidłowego łowiectwa olbrzymie zasługi bądź to przeprowadzając ochronę i hodowlę zwierzyny łownej, bądź to aklimatyzując nieznane dawniej w naszych łowiskach gatunki, bądź zakładając rezerwaty i parki ochronne (hr. Dzieduszycki, hr. Stadnicki, hr. Drohojowscy) bądź wreszcie bogacąc naszą literaturę myśliwską dziełami pierwszorzędnej wartości naukowej. Dzieła podróżnicze i dzieła przyrodnicze poświęcone literaturze Potockich, Wodzickich, Rzewuskich—to trwały dorobek naszego ubogiego piśmiennictwa łowieckiego. Hodowla zaś zwierzyny to nie czcza zabawa, lecz podniesienie dobrobytu krajowego, wzmożenie naturalnych bogactw Polski, ochrona nietylko materjalnych dóbr, ale i estetycznych walorów naszego krajobrazu, który uboży tępienie zwierzostanu.

I dlatego krytykowanie łowiectwa jako „rozrywki możnych“ jest nietylko demagogicznem kłamstwem, nietylko rozniecaniem klasowych walk, ale i szkodliwym głupstwem fałszującym prawdę. *J. E.*

Rozmaitości.

DROBNE PORADY PRAKTYCZNE.

Środek po ukąszeniu żmii.

Roztwór kali hypermanganicum (15 ziarnek na litr wody). Okłady skuteczne. Największa nabrzmiałość znika na drugi dzień. Przy dużej gorączce zmieniać okłady co 10 miut.

Na odparzenie nóg.

Przeciąć nożyczkami skórę bąbla, wycisnąć zawartą w nim wodę; uniósłszy szczypczykami brzegi przekrajanej skóry, nasypać wewnątrz proszku jodoformowego, przykryć cienką warstwą waty i zalepić jakimkolwiek plastrem. W ciągu paru godzin ranka się goi.

Środek przeciw rdzewieniu lufy.

Strzelając wiele prochem bezdymnym, wystarczy po ukończeniu polowania przestrzelić broń prochem dymnym, by zapobiec rdzewieniu.

Lekarstwo na biegunkę u szczeniąt.

Palone żołędzie gotowane z mlekiem.

Jak się obchodzić ze zwierzyną po zabiciu.

Kozła zaraz wypaproszyć, w jamę brzuszną włożyć—gałęzie iglaste.

Zająca powiesić bez paproszenia.

Kuropatwy w porze gorącej paproszyć zaraz po ubiciu (w cienistem miejscu) lub przynajmniej zaraz po powrocie z polowania.

Zabezpieczenie koni od bąków.

Zabezpieczyć konie od bąków w lecie przy podjeździe na rogacze można nacierając silnie konie liśćmi paproci.

Wilki w lasach Łochowskich.

W lasach Łochowskich hr. Zamoyskiego w leśnictwie Brzuza, Fidest i Wielgie pojawiły się wilki gniazdowe, które od czasu do czasu wyrządzają szkody włościanom porywając gęsi i barany. Zwierzostan lasów Łochowskich poprawił się w ostatnich latach znacznie dzięki niestrudzonej energji Łowczego p. Kutnickiego, który wzorowo tępi kłusownictwo i ochrania zwierzyną łowną.

OD ADMINISTRACJI.

Administracja uprzejmie prosi wszystkich nadsyłających ogłoszenia o dokładne wskazywanie rozmiaru, wielokrotności ogłoszeń oraz o **równoczesne nadsyłanie należności.** Poszukującym pracy udzielamy 50% rabatu.

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Błeszyński, Wł. Janta Połczyński, Włodzimierz Korsak i Józef Gieysztor.

Redaktor przyjmuje od godz. 1 — 2 we środy w mieszk. prywatnem Pl. Trzech Krzyży 12 m. 3a.

Redakcja i Administracja: Szpitalna 12. Warszawa.

Numer obecny jako podwójny (15 i 16) w cenie **2 zł.** Pren. kw. (z odsył. do domu) — **3 zł.** Konto czekowe w P. K. O. № 7595

Cena ogłoszeń: strona — **40 zł.;** 1/2 str. — **25 zł.;** 1/4 str. **15 zł.;** 1/8 str. — **8 zł.;** 1/16 **5 zł.** Cena pierwszej i ostatniej strony o 50 proc. drożej.